

Pan Kaprowski



ELIZA ORZESZKOWA

Pan Kaprowski

ROZDZIAŁ PIERWSZY. U EKONOMA

Wiosenny wieczór spadł na pole, ziejąc mocną wonią świeżo zoranej ziemi. Mglisto było, pochmurno i cicho. Droga, rzadka obsadzoną drzewami, szła kobieta bosa i w siermiędze. W zmroku i mgłę szła prędko i prosto, nie omijając kałuż ani głębokich kolein, które z pod bosych stóp jej tryskały wodą i rzadkiem marcowym błotem. Bose te stopy ciężkie były i silne, doskonale znać żyte z ziemią, po której stąpały. Wszystko jedno było idącej kobiecie, co ją otaczało, byleby jak najprędzej doszła do tego, co było przed nią. Nie lękała się niczego: ani zwiększającej się coraz ciemności, ani obejmującej widnokrąg ciszy, ani rozsianych po polu grusz i topoli. Szła i szła...

Przed nią, w końcu drogi, błysnęły dwa oświetlone okna. Były tam budynki jakiegoś folwarku, otoczone prostym polem z ostrokołów. Pomiędzy długą stodołą a ogrodem warzywnym można było rozpoznać z prostych też kołów zrobioną i na jedną tylko stronę otwierającą się bramę. Brama ta w tej chwili właśnie skrzypnęła, posunęła się z ciężkością i zaryła się w błocie tak, że posuwająca ją ręka targać nią zaczęła. Z łoskotem, sprawionym przez trzęsienie i targanie bramy, złączył się gruby, męski głos:

— A psia para!

Człowiek z ciężkim worem na plecach stękając przecisnął się przez ciasny otwór i począł iść drogą w kierunku przeciwnym temu, w jakim dążyła kobieta. Zdawało się zrazu, że rozminą się nie zwracając na siebie żadnej uwagi. Chłop jednak, nie odwracając twarzy, zgarbiony trochę pod ciężarem niesionego wora, przemówił:

— Krystyna?

— Ja, — odpowiedziała kobieta.

— Jaki djabeł nosi ciebie po nocy?

— Ten sam co i ciebie — odrzuciła,

Z głosu, jakim przemówili do siebie, wnosić byłoby można, że nienawidzili się, albo zostawali z sobą w zażartej kłótni. Jednak chłop przystanął.

— Czego? — zapytał znowu.

— Do ekonoma, — odrzekła kobieta i przystanąła także. Stali zdaleka od siebie u dwóch brzegów drogi.

— Ordynarja? — zapytała, ruchem głowy na wór wskazując.

— A ino, ćwiartka żyta za przeszły miesiąc... z pośladem zmięszala... żeby jej kości pokręciło.

— Kto? Wyszyńska, czy ona wydawała?

— Dyc ona... czarownica! Żeby on wydawał, pośladu by nie dał... ale sama z kluczami przyleciała. — „Dawaj chامية worek!” I nasypała pół żyta, a pół plewy... żeby jej tak chorób nasypało...

W miarę jak chłop mówił, Krystyna zbliżała się ku niemu. Gdy stanęła, widać było, że wpatrzyła się w twarz towarzysza.

— Oj! Jasiiek, Jasiiek! Żeby ona dzień i noc sypała, nie nasypałaby tobie tyle plewy, ile łez wylało się przez nią z moich oczu... Oczy ja przez nią nad sobą i synkami memi wypłakiwałam i myślałam, że za moją krzywdę Pan Bóg na nią prędko koniec zesze. Nie zesłał. Panuje i króluje.

Stała prosto i trzęsła głową. Chłop raz tylko lekceważącym ruchem głową kiwnął.

— Aha! — mruknął.

Wnet jednak zapytał.

— Czego ty tam leżysz? Popatrzeć jeszcze chce się? Kiedy młoda byłaś, wypędził, to co już teraz leżać w oczu? Spalabyś lepiej w chacie na piecu!

Wyprostowana wciąż i nieruchomym wzrokiem w towarzysza wpatrzona, brodę ująwszy w palce prawej ręki, kobieta mówić zaczęła.

— Wypędził, to wypędził... Ale dlaczego on wprzódę swatów, co przyjeżdżali do mnie, wypędzał? Kiedy nie lubił, to dlaczego swatów wypędzał?

Wymówiła to rozżalonym głosem.

I dalej tak samo mówiła.

— Mówił bywało: „Krysiu, poczekaj tylko! jak ekonomem mnie zrobią, ożenię się z tobą!” Swatów wypędzał. Ani mnie kiedy drużki na dzieży sadzały, ani mi śpiewały przy oczepinach, ani ja ziarno w kąty mężowskiej chaty sypała, ani mi organista na organach przygrywał...

Jasiek niecierpliwym ruchem wór na plecach poprawił.

— Ot — rzekł — przypomniała sobie baba dawne czasy i płacze...

Ale Krystyna mówiła dalej.

— Nikt mi w gospodarstwie nie pomagał, nikt synków moich nie niańczył, nikt mnie biednej nigdy nie pożałował. Sama jedna żyłam, pracowałam, harowałam, skórę z rąk sobie zdierałam, bosom chodziła, z postem jadałam, a wszystko dla synków moich.

— Dosyć, dosyć — mruknął Jasiek — chodź do chaty! razem iść weselej będzie!

— Nie mogę ja iść do chaty, Jaśku, nie mogę do chaty! — zawiodła kobieta. — Muszę iść do Wyszyńskiego i pokłonić się mu nisko i o ratunek dla mego Filipka poprosić...

— Aha! — mruknął chłop, jakby teraz zrozumiał, czego Krystyna szła do ekonomy.

— Mądrzejszy on odemnie... może zlituje się nad swoim własnym dzieckiem... może poradzi... może pomoże... może poratuje...

— Aha! — powtórzył chłop.

I dodał:

— To idź z Bogiem!

— Bóg z tobą — powtórzyła, i rozeszli się.

Rozstanie to było nagłe i pożegnanie krótkie.

Jemu ciężko było stać z ćwiartką żyta na plecach; jej było pilno prosić o ratunek dla Filipka. Zresztą mieszkać musieli razem albo blisko siebie, bo, uszedłszy kilkanaście kroków, chłop odwrócił się i rzucił zapytanie?

— Kiedy wrócisz do chaty?

— Dziś, zaraz! albo ja tu hulać będę? — odkrzyknęła.

Przez ten sam otwór uchylonej nieco bramy, przez który z worem swym przecisnął się Jasiek, z łatwością Krystyna weszła na ciemny i błotnisty dziedziniec folwarku. Pośrodku dziedzińca kilka drzew widać było na szarem tle zmroku. Kilka szerokich promieni padało na nie z dwu oświetlonych okien niewielkiego domu, złącząc gałęzie. Krystyna stanęła pod drzewami temi, i ukryta całkiem w ich czarności czekała. Niebawem z domu wyszedł mężczyzna średniego wzrostu, barczysty, ciężki, z odkrytą głową. Ciężko stanął, z ganku zeskoczył i kilka kroków uszedł. Z głębokiej czarności ozwało się bardzo ciche wołanie:

— Panie mój, panie!

Wyszyński stanął, a w tejże chwili wysunęła się Krystyna. Bose jej nogi grzęzły w błocie, wysoka i cienka postać w grubej siermiędze zgarbiła się pokornie, głowę czerwoną chustką owinęła, schyliła do ukłonu tak, że twarzy niepodobna było rozpoznać. Oczy tylko poznał śnać Wyszyński.

— Aha! to ty Krysiu! — mruknął.

Czego na światło wyłazisz? — z przerażeniem szeptać zaczął, — chowaj się prędko! stań tam między drzewami! No, czego więc chcesz, gadaj prędko, bo jak baby, broń Boże, zobaczą, będziemy się mieli spyszna. Czego chcesz?

Chłopka w siermiędze i z nisko schyloną głową schowała się znowu w tej ciemności czarnej, w której, gdy zniknęła, ozwał się szept stłumiony:

— Panie! drogi! miły! zlituj się nademną nieszczęśliwą sierotą! poradź, pomóż, ratuj Filipka.

Wyszyński oglądał się wciąż na okna domu. Usłyszawszy imię Filipka, rękę z chustką w dół opuścił, westchnął i zapytał:

— No! wzięli chłopca do wojska! Wiem o tem przecież, boś mi tak samo przed trzema miesiącami głowę suszyła prośbami, abym go ratował...

— Raz tylko, dobrodzieju, dalibóg, raz tylko prosiłam...

— Wzięli, to i wzięli! nie tacy jak on idą... panowie i hrabiowie do wojska idą... Głupia jesteś ty! co ja ci na to poradzić mogę?... Ot darmo łazisz tu, mnie i siebie na nieszczęście narazisz... Siedziałabyś lepiej w chacie. Cóż? jakże ci teraz? Jasiiek lepszy dla ciebie, niż był Maciej? Widzisz, że ja dobry jestem, nie zwierzę żaden. Kiedy dowiedziałem się, że Maciej was krzywdzi, zaraz umieściłem was w czworaku Jaśka. Z Jaśkami lepiej ci żyć, he? Ordynarją Antek bierze taką, jak i Jasiiek, choć młodszy i słabszy. Chleba macie dosyć, he?

Otarł znowu chustką czoło i czekał na odpowiedź. Nie otrzymał jej jednak. Długiej mowy jego kobieta wysłuchiwała cierpliwie, ale, gdy umilkł, zamiast odpowiedzieć na zadawane jej pytania, zaczęła:

— Wzięli, to i wzięli. Ja wiem, że nie tacy, jak on, do wojska idą... na to już oni rodzą się, żeby iść... Płakałam, płakałam i płakać przestałam. Piśmienny, myślę sobie, i taki maleńki, taki śliczny... radę sobie da, ludzie go lubić będą. Bóg się nim opiekować będzie.

— Więc czego teraz chcesz? — niecierpliwiać się, zapytał Wyszyński.

W czarnych ciemnościach coś klasnęło, jakby dwie ręce załamały się z rozpaczą.

— Panie, drogi, miły! on chorowity, a jego wysyłają teraz daleko, daleko, na kraj świata. Pisał do mnie robaczek miły: „Matulu, nie wytrzymam... drogi takiej dalekiej nie wytrzymam, zimna tamtejszego i ludzi cudzych nie wytrzymam. Matulu, żeby mnie tu zostawili, tobym choć czasem mógł ludzi naszych zobaczyć i twoje stare oczy pocałować. Ale mnie już między wami nie być... pójdę i zamrę na końcu świata... przyjdź ty jeszcze do mnie, matulu, choć raz, niech choć pożegnaj się z tobą!”

Poszłam zaraz do Ongrodu... Świata zza łez nie widziałam, ale szłam... przyszłam do kazarmów. — „Filipku!” wołam. Wskoczył na schody... padł mi do nóg i w kolana całuje.... „Matulu, my już z tobą ostatni raz widzimy się na tym świecie!”

— Głupstwo! — sarknął Wyszyński — albo to on jeden w dalekie strony idzie... Idą inni i wracają...

— Oj dolo moja! — jęknęła kobieta — idą, idą, ale nie takie mizeractwo jak on... bladziuskie to było i słabiutkie od urodzenia... potem go ta gorączka schwyciła...

— A no! to czemuż Antka lepiej nie oddała? ten zdrow i silny.

— Albo ja kogo oddawała! oj dolo moja! Filipka wezwali, poszedł. Starszy, dwadzieścia jeden roczek na Święty Józef skończył, a Antkowi dopiero dziewiętnasty od jesieni się zaczął... Żeby chociaż zdrow był... ale takie mizeractwo... Zaczęliście go uczyć i nie skończyliście... Zapomnieliście o biednej sierocie. Parobka zepsuliście, a księdza nie zrobiliście...

Wyszyński poruszył się niecierpliwie.

— Ot! jeszcze mi tu wymówki prawić będzie! silnego chłopca przy niej zostawili, a cherlaka wzięli. To i czegoż chcesz więcej? Co ja tobie poradzę? Idź precz i nie włóż się tu darmo, bo jak się rozgniewam, to cię z Antkiem całkiem z majątku wyprawię...

Uczył ruch do odejścia, ale z ciemności wychyliły się naprzód dwie ręce, które rękę jego pochwyciły, a potem głowa w czerwonej chuście, która pochyliła się nisko i rękę tę pocałunkami okrywać zaczęła.

— Panie najdroższy! — pośród pocałunków szeptała kobieta — zmiłuj się... ty mądrzejszy odemnie i od nas wszystkich, biednych ludzi... Daj radę!.. Gdzie mam iść, kogo prosić, żeby jego daleko nie ślali, żeby jego tu zostawili... żebyście sami do miasta pojechali... macie znajomych różnych... możebyście co dla niego wykołatali... toż to twoje rodzone dziecko... toć ja przez ciebie całe życie nieszczęśliwa byłam... Ani mię družki na dzieży sadzały, ani mi do ślubu śpiewały, ani mi nikt w gospodarstwie nie pomagał, ani nikt mnie biednej nigdy nie żałował!

Nagle przerwała. Podniosła głowę. Czarne, zapadłe, splakane oczy błysnęły i utkwily w twarzy mężczyzny.

— Paniczu! Stefanku!... ja żalu do ciebie nie mam... Nie przeklinałam cię dotąd i przeklinać nie będę. Lubiłam cię jak swoją własną duszę. Miej litość nademną i Filipka mego wyratować pomóż.

Wyszyński czuł się zakłopotanym i rozrzewnionym. Z nogi na nogę przestępował, głośno sapał i ciągle mruczał:

— No i czegoż? cóż? dość już! no dość! pomogę, poradzę się... może...

Wtem rozległ się turkot bryczki. Wyszyński od stóp do głowy drgnął i szeptem Krystynie kilka słów cisnął:

— Zmykaj prędzej! zęby i ducha twego nie było! — A sam pośpieszył do wysiadającego z bryczki podróżnego. Powitawszy gościa, z nim razem wszedł do domu.

ROZDZIAŁ DRUGI. PAN KAPROWSKI

Przybyły, pan Ludwik Kaprowski, był człowiekiem niezbyt już młodym, bo trzydzieści kilka lat mieć mogącym, ale był nadzwyczaj elegancki, śmiały, szczupły, niewysoki, od stóp do głowy okryty cienkiem i zgrabnie skrojonym sukniem. Nosił rude faworyty, które otaczały twarz bladą z czołem niskim i zbrudżonym, z oczyma rzucającymi zza szkielec spojżenia ostre i przenikliwe.

Przyjechał w te strony, aby rozmówić się z chłopami sąsiedniej wioski z powodu procesu, który wytoczyli Dzielskiemu, jednemu z większych właścicieli ziemskich, o trzy włóki łąki i dwie włóki ornej ziemi, graniczącej z ich gruntami. Kaprowski proces ten prowadził, i głównym celem przybycia jego tutaj było wydobycie od chłopów na koszt interesu pewnej sumy pieniężnej. Kiedy o celu swojej podróży opowiadać zaczął Wyszyńskiemu, ten wytrzeszczonymi oczyma wpatrywał się w mówiącego.

— Bój się Boga! — zawołał, to dzika pretensja! Ta łąka i ta ziemia jak świat światem do Dzielskiego należały! Ja tu, panie, urodziłem się... wiem...

Kaprowski spoważniał i ręce w kieszenie ubrania włożył.

— Hm! — rzekł — jeżeli nie wygrają, to... przegrają...

Zaśmiał się i pochylony ku Wyszyńskiemu, lekceważąco mówił:

— Gdyby, panie kochany, ci tylko prowadzili procesy, którzy je wygrać mogą, mybyśmy z głodu poumierali.

Szczególny, ukośny uśmiech, ukazujący wśród ryżego zarostu część szerniałych zębów, rzucił mu na twarz wyraz przebiegłego sprytu. Opowiadać zaczął o niektórych kolegach swoich, którzy na drodze tej dużo zarobili. Były to sprawy różne i dziwne. Ten — zagrodowego szlachcica wprowadził w proces z sąsiadem o kawał gruntu, mający wartość stu rubli, a wycisnąwszy z niego w ciągu lat paru dziesięć razy większą sumę, nietylko proces przegrał, ale jeszcze krowy i konie szlachcicowi na publiczną licytację wystawił. Tamten znowu złapał wdowę po małym właścicielu ziemskim, a po kilku latach obrabiania różnych jej procesów, sam folwark za bezcen i tak potajemnie nabył, że baba ani obejrzała się, jak z czworgiem dzieci na bruk miejski wyleciała... I wiele jeszcze podobnych spraw naopowiadał. Potem się chwalić zaczął, gdzie to on był, co widział, co czytał i zrobił.

Na tej pogadance zeszedł im wieczór, i w nocy w ekonomskim mieszkaniu zapadła cisza. — Wyszyński tylko nie spał i o życiu swem rozmyślał. Był zagrodowym szlachcicem. W ojcowej zagrodzie na piętnastu morgach ziemi braci Wyszyńskich wyrosło aż czterech. Dwaj starsi pożenili się i pozostali na miejscu, dwaj młodszy w świat poszli. Stefan nie poszedł daleko. Raźny, zgrabny, uniżony, z łatwością otrzymał w dobrach krasnowolskich miejsce oficjalisty. Na folwarku tym służyła wtedy słuszna, zgrabna, czarnooka dziewczka — Krysia. Wyszyński rozkochał się w niej tak, że zapomniał, iż była chłopką. Kształtami przypominała młodą brzozę, oczy jej pełne płomieni, zza ust koraliowych ukazywała w uśmiechu śnieżne zęby, a gdy rozplotła warkocz, chowała się do pasa w płaszczu kruczych włosów. Pracowitą była, bo pośród cudzych ludzi nie otrzymywała darmo kęsa chleba, a nieśmiała i uległa, bo nad sierotą i bezdomną wszyscy wszystko mogli.

On był podówczas chłopcem zgrabnym i żwawym: czoło miał białe przy ogorzalej twarzy, płowy wąsik nad różową wargą, a w oczach ogień. Pokochali się młodzi, zdawało się im, że kochaniu temu końca nie będzie. Wyszyński dwa, czy trzy razy z wielkim gnie-

wem i hałasem wypędził z izby czeladniej wiejskich swatów, którzy przychodzili piękną, hożą i pracowitą dziewczkę brać za żonę dla gospodarskich synów. I trwało tak lat kilka. Raz wypadło mu pojechać na parę tygodni w inne strony za interesem. Tam poznał przypadkiem młodą i bogatą pannę szlacheckiego rodu. Zrazu, kochając jeszcze Krysię, ani pomyślał o pannie. Powoli jednak uległ namowom. Przyjaciele zaswatali, do panny powieźli, zaręczyli i ożenili. Gdy państwo młodzi wrócili do domu, wysoka i czarnowłosa chłopka z twarzą młodą, ale zoraną zgryzotą i łzami, z jednym dzieckiem malutkiem, które prowadziła za rękę, a drugim u piersi, wyszła z ekonomskiego domu. Długo jeszcze, gdy Wyszyński wspominał o chłopce, coś mu się takiego około serca robiło, że twarz chustką ocierał, splotał i co prędzej szedł w pole, aby pracą zdławić robaka. Ale z czasem, gdy porodziły się córki, gdy zaczęły się zbierać pieniążki, już tylko od czasu do czasu wspominał o dawnej kochance. Taka właśnie chwila nadeszła obecnie.

— Co ja jej poradzę? — myślał — albo ja mogę Filipkowi tu w czym pomóc? Biorą do wojska — biorą, szłą żołnierza daleko — szłą. Com ja za osoba, żeby do takich interesów się mieszać. Możeby to Kaprowskiego się poradzić. Strasznie sprytna to bestja... i stosunki ma... Pójdę, zapytam się, czy nie znajdzie jakiej rady. Proszę może podać od matki, żeby chłopca z racji choroby zostawili. Ale znów, jak Kaprowski, broń Boże, przed żoną się wygada, będzie źle... Lepiej już nic mu nie mówić. At, czy to jej jednej taka bieda? Nic się jemu nie stanie. Świata kawał zobaczy i na człowieka wyjdzie. Baba — zawsze babą. Za synem przepadała i przepada, to i wymyśla niewiedzieć jakie historie. Powiedziałbym Kaprowskiemu, ale lękam się, żeby przed żoną się nie wygadał. Lepiej już nic nie powiem... Co tam! baba popłacze i tyle, a Filipek za kilka lat powróci...

Ręką machnął, położył się i usnął.

Krystyna, opuściwszy folwark, szła znowu błotnistą drogą w ciemnościach, i znacznie powolniej niż przedtem. Czegóż już teraz spieszyć się miała?

— Taka dola moja, jak ta ciemna nocka! — półgłosem mówiła. Zresztą milczała.

Wiatr coraz silniej zaczął miotać jej siermięgę; chustka, którą na głowie miała, tak była zmoczona, że strumienie wody lały się z niej na uszy i szyję. Z pod bosych jej nóg tryskały z kałuż strumienie rzadkiego błota. Po przebyciu kilku staj znowu przemówiła:

— Ot, jeszcze nie śpią! Może dziecko chore.

Słowa te wywołało drobne, czerwone światełko, które błyskało pomiędzy ciemnymi zupełnie zabudowaniami Wólki. Zeszła z drogi, chwilę szła po zoranym zagonie, pod ścianę stodoły czy obory, potem przelazła przez niewysoki plot jakiś, i w ten sposób skróciwszy sobie drogę, znalazła się u drzwi budynku, w którego jednym malutkim oknie błyszczało owo światełko. Budynek ten był tak zwanym czworakiem, zawierającym mieszkanie dla rodzin czterech parobków, z których każda miała tam posiadać izbę i komórkę z osobnym wejściem. Ale gospodarstwo w Wólce wymagało parobków ośmiu; czworak zaś znajdował się tam jeden. Rządca dóbr był oszczędnym i nie chciał mu się budować czworaku drugiego. Dość dawno temu, zapytał Wyszyńskiego.

— Co robić? budować w Wólce drugi czworak, czy nie budować?

— Nie budować, Wielmożny panie. Po co budować? — odrzekł Wyszyński, który chciał przypodobać się rządcy.

— A jakże będzie?

— W każdym mieszkaniu zmieszczą się dwie familje.

— Doprawdy? będą mogły się zmieścić?

— Oj, oj! czemużby się nie zmieściły? Czy to im wygod jakich potrzeba?

Mieściły się istotnie, bo i co miały robić? Parobek jest parobkiem, dlatego że nim być musi, tu czy tam, ale musi. W Wólce gorzej niż gdzie indziej nie było, a i z mieszkaniem nie wszędzie było lepiej. Jasiiek służył tu już oddawna, mieszkając wspólnie to z tymi, to z owymi ludźmi. Przed rokiem dano mu za współnika mieszkanie młodego parobka Antka i matkę jego Krystynę, których przeniesiono tam od innego parobka, Macieja, dlatego że Maciej lajał Antka od bękartów, a Maciejowa Krystynę parę razy za włosy po izbie ciągała, przypominając jej, jaką była i skąd swoich dwóch synków wzięła. Jaśkowie byli spokojnymi ludźmi i umieli żyć w zgodzie ze wszystkimi. Z Krystyną i jej synami zaprzyjaźnili się nawet, dlatego może że matka młodego parobka nie tylko kłótni nie rozpoczynała, ale

zaczepiona milczała, a dzieci Jaśków strasznie polubiła i doglądać je pomagała, tak, jak gdyby nie były jej cudzemi. Teraz we drzwiach izby ukazując się, pozdrowienie wymówiła:

— Niech będzie pochwalony...

— Na wieki wieków — odpowiedziały jej trzy głosy męskie i jeden niewieści.

Izba była obszerną, ale bardzo niską, ze ścianami i sufitem prawie do czerności zakopconemi, z podłogą ubitą z gliny i jednym małym oknem, przez którego ramy wlatywały powiewy marcowego wiatru. Dość obszerną będąc, izba ta miała pozór wielkiej ciasnoty, najprzód z powodu niskości swojej, potem dlatego że napełniało ją mnóstwo gospodarskich statków, jako to: ław, stołów, krosien tkackich, których było dwoje, niecek, balji, wiader, garnków, narzędzi do czesania lnu, motowideł, beczulek z kwaszonemi burakami i kapustą, worków zawierających kartofle, zboże niemełte, mąkę, i t. d. Róg izby zajmował piec z głębią czarną, jak otchłań, z przypieckami i podpieckami. Na piecu widać było cztery boscie nóżki dziecięce, wyglądające z grubych koszulin, pod piecem spały trzy kury i jeden kogut; na przypiecku leżała kobieta, okryta kołdrą w domu utkaną, — chudą, ciemną ręką poruszająca od czasu do czasu kołyskę; z łoży uplecioną i u belki sufitu na grubych konopnych sznurach zawieszoną.

W kołysce spało dziecko, kilka dni mieć mogące. Kobieta, leżąca na przypiecku, była Jaśkowa, słaba jeszcze po odbytych przed kilku dniami położu. Dawniej bywała poleżała dzień jaki, na drugi już wstawała, jeżeli nie do wszystkich naraz robót, to przynajmniej do skrobania kartofli, gotowania i doglądania starszych dzieci. Tym razem jednak słabowała dłużej niż zwykle, wychudła jakoś i wybladła niewiadomo dlaczego. A że dnia tego i druga gospodyni mieszkania nieobecna był, wieczerza spóźniła się znacznie. Jasiek i Antek gotować ją zaczęli po powrocie z pola, które orali do zmroku, po nakarmieniu i napojeniu swoich par koni, po umieszczeniu pługów we właściwym miejscu i krótkiej kłótni z innemi parobkami. Teraz przed ogniem, palącym się w piecu, drewnianą łyżką od czasu do czasu mieszając w garnku, stał jeden tylko Antek, parobek młody, przystojny, z jasnemi jak len włosami i rażnem spojrzeniem błękitnych oczu. Jasiek, chłop barczysty, wąsaty z ciemnym zarostem dokoła śniadej twarzy i ciemnym roztropnym okiem, siedząc na ławie za stołem, rozmawiał z gościem. Siedział zgarbiony, łokcie na stole rozpościerał, zpod brwi gęstych dość łagodnie, ale chmurnie i jakby nieufnie, spoglądał. Gość przeciwnie, suchy był, sprężysty, wyprostowany; zwiędłą, bladawą twarz jego z długim nosem i spiczastą brodą otaczał krótki, siwiejący zarost. Szare, małe jego oczy patrzyły bystro, śmiało, zuchwale nawet, czasem w błyskach ich świeciła srogość, czy chciwość. Ubranie miał z żółtawego sukna, ale wcale inaczej niż chłopskie siermięgi skrojone, połyskujące metalowemi guzikami i z brązowym medalem u pętlicy zawieszonym.

Wejście Krystyny nie przerwało rozmowy Jaśka z gościem. Odpowiedzieli jej: „Na wieki wieków!” i wcale się nią dalej nie zajmowali. Ona kiwnęła głową synowi, który jej takim samym kiwnięciem odpowiedział. Stała przed piecem, łokieć oparłszy na dłoni, drugą dłonią brodę podparła i wpatrzyła się w płomień. W zarysie drobnych jej ust, w sposobie, jakim sfaldowały się policzki i w wyrazie nieruchomych źrenic, była przepaść smutku. Jasnowłosy parobczak mieszał w garnku zacierkę z sadłem, a patrząc na matkę, zapytał:

— I cóż, mamó?

Nie zmieniając postawy ani kierunku spojrzenia, odpowiedziała:

— Nic, synku. Pójdzie Filipek nasz na kraj świata i nie zobaczą już go oczy moje. Widać, że dla nas biednych żadnego ratunku już niema.

Antek westchnął i głową pokiwał. W kołysce zaskwierczało dziecko. Krystyny zaduma prysnęła. O osuszaniu odzieży swej i rozgrzewaniu przemokłych nóg wcale nie myślała. Do przypiecka prędko podeszła i pochyliła się nad chorą. Poszeptaly coś z sobą, chora stękając odwróciła się twarzą ku izbie, Krystyna wyjęła dziecko z kołyski i do piersi je podała. Potem na skraj przypiecka usiadła i, ręce na kolanach złożwszy, pierwszy raz na rozmowę Jaśka z gościem uwagę zwróciła. Przed rozmawiającymi stała butelka z wódką i cynowy kieliszek. Częstowali się wzajemnie z grzecznością wielką, po każdym wychylnym kieliszku zamieniając się wyrazami: „Na zdrowie!” Wychylane kieliszki nie były jednak liczne. Jasiek nie był pijakiem. Gość przekonywał o czemś Jaśka, do czegoś nakłonić go usiłował. Z niedopitym kieliszkiem w ręku, wyprostowany, bystre i świejące oczy w twarz parobka wlepiając, mówił: „Jak Boga kocham. Jasiek! Żebyś był na two-

jem miejscu, dawno bym już w swej własnej chacie siedział, jadł, pił i o nikogo nie dbał. Czy tobie tak dobrze na parobczym chlebie, że stryjowi na swojej własnej ziemi panować pozwalasz?”

Parobek ciemnowłosa i ciężką głową zwolna potrząsł.

— Oj, dobrze! — odpowiedział — żeby moim wrogom tak dobrze było! Ale cóż robić! Człowiek dzieckiem był jeszcze, kiedy źli ludzie skrzywdzili, zwyczajnie sierotę bez ojca. Jak tylko ojciec zmarł, stryj zaraz cały grunt i osadę i wszystko na swoje imię przepisał. Mnie, powiada, komisja zrobiła gospodarzem, to i grunt cały mój, a brat powiada, u mnie parobkiem był, to i do bratanka tu nic nie należy. Ludzie mi poradzili, żebym szedł do sądu, a on sobie najął adwokata, że jak zaczął szczekać, tak wszystko wyszcekał, czego chciał. A ja bez wszystkiemu zostałem i z gospodarskiego syna na parobka wyszedłem.

Zwolna ręką machnął, i wódki trochę do kieliszka wlawszy, głową ku gościowi skinął:

— Na zdrowie! — rzekł.

— Cóż robić? — mówił dalej — co przepadło, to przepadło. Z żonką i dziećmi z głodu nie pomrzemy. Teść sto rubli posagu dał... Bogaty... jest ogrodnikiem... Dałby i więcej... „Jak będziesz miał, Jaśku, za co kawał ziemi kupić, to ja ci drugie sto rubli dodam”... powiedział... Może Bóg Wszechmogący da, że kupię... żonka trochę zarobi... i z pensji zostanie się coś niecoś... siaki taki grosz jest...

— Dużo? — chciwie zapytał gość.

Chłop uśmiechnął się przebiegle.

— Sam nie wiem — pół żartem odpowiedział — może dużo, może niedużo... ale jest...

— No, a ziemia ta, co ci stryj zabrał, to tak już przepadnie?

— Cóż robić? — westchnął Jasiek. — Może moja prawda była, a może jego! Niech nas Bóg sędzi.

— Oj ty, głupi! — z dziwną rażnością zawołał gość — i ty sobie myślisz, że to już skończone, zapieczętowane i przepadłe? Milczysz i cierpisz. A nie można to teraz także adwokata sobie nająć i stryja do sądu za swoją krzywdę pozwać? Czy to on jeden adwokata mieć mógł? A ty nie możesz? co? Ja twój interes znam, jak swoją rękę. Te jego pretensje nic nie warte i dawność jeszcze nie nastąpiła. A apelacja od czego? Ej!..

Wskazujący palec podniósł w górę i kręcił nim w powietrzu.

— Ej! Ej! powtórzył — tyś sądu nie widział. Ja widziałem. Wielka taka sala, jak kościół, a w niej stół, czerwonym sukniem nakryty, a przy stole jaśnie wielmożni panowie siedzą w mundurach złotem wyszywanych i sądzą...

— Złotem wyszywanych... — powtórzył Jasiek, który tak ciekawie wsłuchiwał się w mowę gościa, że usta nieco otworzył.

— A cóż ty myślał, że w takich siermięgach, jak ty? Od złota błyszczą... Przed stołem czerwonym, przed jaśnie wielmożnymi panami, co od złota błyszczą, stają adwokaty i mówią... Tak i tak, jaśnie wielmożny sędzie, mówią... tak i tak, mówią... a sąd milczy i słucha... słucha, słucha, potem wstaje i wychodzi.

— Wychodzi! — powtórzył Jasiek tak, jakby żałował, że kończy się już piękna i zajmująca bajka.

— A no, wychodzi. Idzie sobie do drugiego pokoju, żeby pogadać o tem, co adwokaty gadali. Potem powraca... wszyscy wstają... a najstarszy z sądu z papieru głośno czyta: „Skargę Jaśka Gozdawy za sprawiedliwą przyznać, stryjowi jego Pawłowi grunt i siedzibę odebrać i Jaśkowi oddać”.

Na to niespodziane zakończenie Jasiek Gozdawa głowę podniósł, chmurne oczy jego żywo błysnęły.

— Aha! — zawołał — żeby to tak było...

— Dlaczego niema być? — ze spokojem odparł Mikołaj, bo tak się gość nazywał, — żebyś ty Jaśku tylko chciał, toby było... Jabym ci takiego adwokata nastreczył, co tak pisze, że aż sam minister dziwi się, a jak zacznie gadać, to aż sąd gęby otwiera i obydwoma uszami słucha...

Jasiek ożywił się znacznie.

— Czy to ten sam, co to milewskich chłopów proces z Dzielskim prowadzi? — zapytał.

— Ten sam; a tyś go widział?

— Widziałem zdaleka... Jechałem z sianem przez Milewo i widziałem, jak z Milewskim przed karczmą rozmawiał. Musi bardzo mądry?

— Ho, ho! — potwierdził gość, — ja ci powiadam, Jasiiek, że jak on pisze, to sam minister się dziwi...

— A i bogaty pewno? taki złocisty łańcuch ma na brzuchu...

— Ho, ho! Co nie ma być bogaty? Ludzie do niego, jak do kościoła, chodzą... A od kogo proces weźmie, to zawsze wygra, zawsze!

— Zawsze? — zadziwił się Jasiiek.

— Zawsze — potwierdził gość — taki już jego rozum. Co on już ludziom napomagał, każdemu pomoże... Żeby tam nie wiem jaką biedę kto miał, jak on ją w swoje ręce weźmie, szczęście z niej zrobi...

Parobek zamyślił się głęboko i po dobrej minucie zaledwie głowę podniósł.

— Słuchajcie no, Mikołaju! — ciszej niż wprzódó mówić zaczął — a czy bardzo drogi ten wasz adwokat?

Mikołaj zsunął siwe brwi i, przebijając w powietrzu palcami, mruczeć coś zaczął. Rachował.

— Ot i nie bardzo drogi — rzekł głośno — pięć procentów bierze... nigdy więcej, broń Boże, nigdy więcej, jak pięć procentów...

— Cóż to te procenty?

— To taka opłata — wytłumaczył Mikołaj — tę opłatę to już trzeba jemu dać... Bez tego ani rusz. Kiedy on ci powie: „Jasiiek, daj mi na ten interes sto rubli”, to znaczy: daj mu sto rubli... A kiedy on ci powie: „Jasiiek daj pieniądze z góry!” to trzeba dać z góry, bo jak nie dasz, to na ciebie i spojrzeć nie zechce... A na co ty jemu? Czy on takich jak ty sprawy prowadzi? Drogo on nie weźmie od ciebie, pięć procentów, więcej nie weźmie... Ale tyle to już trzeba... Bez tego nie można... Czyś ty mu brat, albo swat, żeby on ci darmo robił?

Widocznem było, że mowy Mikołaja Jasiiek słuchał z całej duszy i ze wszystkich sił swoich.

— To znaczy — rzekł — żebym do niego szedł z prośbą o tę ziemię, co mi stryj zabrał, trzeba jemu trochę groszy odrazu zanieść...

— Albo ja wiem? pięć procentów od tej ziemi, to może dwadzieścia rubli wypadnie... może trzydzieści...

— Niech będzie dziesięć!... — zaczynał już targować się parobek.

— A pójdziesz jutro do niego? — z roziskrzonymi oczyma zapytał gość, — on jutro o świcie wyjedzie z Leśnej i do karczmy milewskiej zajędzie, żeby się rozmówić z Milewskimi... Jeśli ty, Jaśku, tam przyjdiesz, to ja ciebie jeszcze przedstawię... Tyś mi nie cudzy, znałem ciebie takim maleńkim... tyś z Milewa i jam z Milewa. Jakem szedł do wojska, toś ty był taki maleńki...

Chłop zamyślił się. Jedną rękę zatopił w gęstwinie twardych, ciemnych włosów, drugą nieruchomie trzymał na stole. Wzrok utkwiał w stół. Wachał się i namyślał.

W tej samej chwili na stole pojawił się bochen czarnego chleba i misa dymiącej zacierki z sadłem. Chleb wraz z wielkim nożem w drewnianym trzonie przyniósł z komory Antek, zacierkę Krystyna tylko co z garnka do misy przelała i postawiła na stole. Położyła też przy misie cztery drewniane łyżki i, ręce skrzyżowawszy, w nieruchomej postawie, przenikliwym wzrokiem w twarz Mikołaja patrzała. Jasiiek chleb krajał, Antek niecierpliwie z łyżką w ręku czekał, aby starsi do jedzenia zacierki hasło dali. Ona zaś stała i na Mikołaja patrzała. Ten zaśmiał się.

— A tobie co, Krystyno? — żartobliwie zapytał — wytrzeszczyłaś na mnie oczy tak, jakbyś mnie pierwszy raz na tym świecie widziała.

Nie spuszczać z niego wzroku, powoli i w zamyśleniu mówić zaczęła:

— Nie pierwszy raz, Mikołaju, widzę was na tym świecie... Nie cudzy wy mnie jesteście, jak i Jaśkowie... Obojeśmy z Milewa i jam z Milewa, wszyscyśmy z Milewa, tylko, że ja byłam biedną sierotą, nad którą nigdy nikt litości nie miał. Miejcie wy, Mikołaju, teraz litość nademną... Dopomóżcie i poratujcie... Słucham ja, słucham tego, coście wy Jaśkowi mówili... Kiedy ten wielki adwokat jemu dopomóc może, to i mnie może, kiedy wszystkich ratuje, to i mego Filipka wyratuje...

Przestała mówić, wyraz jej oczu z przenikliwego stał się błagalnym. Mężczyźni jedli już zacierkę, Mikołaj, po małych korowodach z Jaśkiem, także jeść zaczął. Przytem na Krystynę patrzył i żałośliwie głową kiwał.

— Oj, że bieda będzie Filipkowi twemu, to bieda! — prawil. — Nie lekkie już i tak życie żołnierza młodego, co go od fartucha macierzyńskiego wezmą i w szeregu postawią. „Na ramię broń! Do nogi broń! Na prawo! na lewo! marsz!” A tu, broń Panie Boże, nogę nie tak jak trzeba postawi, feldfelbel przyskakuje i pięścią pod brodę wali.

Mikołaj wykrzykiwał grubym głosem i brwi okropnie marszczył. Za każdym razem, gdy w ten sposób krzyknął i nasrozył się, powieki Krystyny szybko mrugać i fałdy czoła jej boleśnie drgać zaczynały. Antek zaś łyżkę przy ustach zatrzymywał i w opowiadającego wpatrzony, stłumionym głosem wykrzykiwał:

— O Jezu!

— I tak już ciężkie, bardzo ciężkie życie żołnierza młodego — prawil dalej Mikołaj, przesadzając umyślnie dla przerażenia Krystyny — ale tam, gdzie Filipka twego wysyłają, gorzej będzie... Ja tam byłem, to wiem... Skóra ze mnie od mrozu złażała i w żołądku wszystko zastygło. Bywało, co przelknę, to w czysty lód się przemieni... W szpitalu położyli mnie... sześć miesięcy leżałem na żółtą febrę i taki się żółty zrobiłem, jak słonecznik... A kiedym ze szpitala wyszedł, rodzonaby mnie matka nie poznała. Będzie tak samo i Filipkowi twemu, matko, oj będzie... tylko gorzej jeszcze, bo ja byłem zdrowy i silny chłop, to wytrzymałem, a on mizeractwo takie nie wytrzyma... oj! nie wytrzyma!..

Krystyna, która także zaczęła jeść, trzymała łyżkę zawieszoną w powietrzu, twarz jej skamieniała, jakby w przerażeniu. Nagle jęknęła, łyżkę rzuciła i obu rękoma schwyciła się za głowę. Pochyliła głowę aż na ławkę, przechylała się na obie strony i jęczała:

— Boże mój, Boże! Boże mój, Boże!

Antek przestał jeść i nad lamentującą matką stanąwszy, powtarzać zaczął:

— Dosyć, matulu! no, dosyć, dosyć!

Nie dotykał jej wcale i nic więcej nie mówił, ale ten jeden wyraz coraz natarczywiej i żałośniej wymawiał!

— Ej głupia! głupia babo! czego ty jęczysz i lamentujesz, i Pana Boga nadaremno wzywasz? — rzekł Mikołaj. — Pan Bóg już zesłał ci szczęście. Pan Bóg ci zesłał takiego pana, co dopomoże twemu Filipkowi. Tylko poproś, żebym ja ci do niego drogę wskazał, a on jak zechce tylko, to twego Filipka w bliskości zostawią, ot może i do Milewa na kwaterunek zimowy przyślą...

Krystyna, jakby ją mocna ręka jakaś podniosła, wyprostowała się w mgnieniu oka i do Mikołaja przypadła.

— Dobrodzieju! ojcie! pomóżcie mi, pomóżcie!

Mówiąc to, całowała łokieć Mikołaja i zdawało się, że wnet kolana jego całować zaczęnie.

— No dobrze! — zawołał Mikołaj — ale — dodał — pięć procentów trzeba zapłacić... bez tego, nic... pięć procentów, o! jeżeli babo masz pieniądze..

— Mam, dobrodzieju, braciszku! Mam krwawicę moją, com ją sobie przez dwadzieścia lat dla synów swoich i na śmierć swoją zebrała... Co dla Antka, to zostawię, a co dla Filipka, to oddam; niech, mu na wybawienie będzie... Pracowałam, żęłam, pełłam, najmowałam się do wszystkiego skórę sobie pracą z rąk zdierałam, z postem jadałam, bosom chodziła, a wszystkim dla nich zbierała.

Wysunęła pod światło łuczyna ręce swe małe, wychudłe, tak prawie czarne jak zorana ziemia, z palcami powykrzywianymi i pełnymi guzów od sierpa, kopania ziemi i tym podobnych robót, przez dziewiętnaście lat, bez najmniejszej przerwy pełnionych! Mikołaj postać nędzarki okiem ogarnął i usta wykrzywił.

— Kiedy bo, — odezwał się pierwszy Jasiak — kiedy bo ja sam jeszcze nie wiem, jak zrobić... Iść, czy dać spokój...

W tej chwili, zpod pieca ozwał się głos słaby i łagodny.

— Idź, Jaśku, idź... Nie odrzucaj łaski pańskiej... próbuj... Może ci ziemię przysądzą i bieda nasza się skończy... Oj! biada mi, żem ja taka słaba... sama bym poszła i do nóg temu panu się pokłoniła. Idź, Jaśku, jak Boga się boisz, idź. Jam słaba, prędko może zamrę, niech umierając wiem, żeś ty na parobczym chlebie żyć przestał i dzieci...

Nie mogła dokończyć. Tak była słabą, że głosu jej zabrakło. Stęknęła tylko i zawołała Krystynę, aby dziecko od niej wzięta i do kołyski włożyła. Jasiek patrzył chwilę w głęboki ten cień, z którego przemawiała do niego chora żona i w którym zcicha skwierczało kilkodniowe dziecko.

— No, — rzekł, wstając — dobrze! pójdę. Niech co chce będzie, pójdę! Kilka rubli z sobą wezmę. Może Pan Bóg ulituje się i wynagrodzi...

Mikołaj w duszy się cieszył.

— No — zawołał napijmy się.

— Napijmy się, — powtórzył Jasiek.

— Zdrowie wasze!

— Panie Boże zapłać!

— Pij Krystyna!

Wzięła z rąk Jaśka kieliszek i, odwróciwszy głowę, a łokciem twarz sobie zasłoniwszy, do połowy go wypila.

— Pij! — nalegał rozochocony Jasiek.

— Pij, za szczęście swoich dzieci! krzyczał Mikołaj.

— Nie mogę — tłumaczyła się kobieta — dalibóg nie mogę! Nie piłam nigdy wódki, bo pieniędzy żałowałam i bałam się zostać pijaczką... Tyle, co mogłam, za zdrowie dobrych ludzi wypilałam... więcej nie mogę...

Wiedzieli istotnie, że nigdy więcej nad pół kieliszka wódki nie wypila, i dali jej pokój. Natomiast zwrócili się do Antka.

— Pij, parobcze! — wykrzykiwał Mikołaj — żołnierzem nie będziesz, przy starej matce cię zostawili.

— Pij — dorzucił Jasiek — na dobry ożenek i szczęśliwą dołą!

Antek po kieliszek wyciągnął rękę.

— Nie waż się! — krzyknęła Krystyna i przed synem stanęła z takim wyrazem w postawie i twarzy, jakby go ciałem swym przed zabójczą kulą zasłaniała.

— Puśćcie, matulu! — próbując usunąć ją, zaczął rozochocony parobczak.

— Nie waż się! — powtórzyła i tak na niego patrzyła, że spuścił głowę i zmieszany od stołu odstąpił. Ona zaś do dwóch starszych mężczyzn mówić zaczęła:

— Sama nie piłam i im nie pozwalałam. Sama pić nie zacznę i, dopóki żyć będę, im nie pozwolę... Oni nie tacy jak inni... matki wolę szanują...

Postawa i mina Antka świadczyły o prawdzie jej słów. Stał ze spuszczonej oczyma, nie myśląc już nawet rwać się do wódki. Ona mówiła dalej:

— Wychowałam ich nie na pijaków i nie na złodziejów. Strzegłam ich od pijaństwa i od wszelkiej obrazy boskiej, jak od ognia. Od maleńkości do posłuszeństwa i do pracy przyzwyczajałam. Widzieli oni, jakem na nich pracowała, że za nimi świata nie widziałam, więc żalowali mnie i słuchali. Prócz Pana Boga nikt mi nie pomagał.

Mikołaj wstał z ławy i zegnał się z gospodarzem mieszkania. Obejmowali się i głośno cmokali się w policzki.

W kilka minut później w izbie było już zupełnie ciemno i cicho. W przyległej za to komorze świeciło się przez spary we drzwiach i słychać było stłumione szepty. Krystyna siedziała tam na ziemi przed otwartą niewielką skrzynką, a za nią stał Antek, z kawałkiem napalonego łuczywa w ręku. Kobieta spiesźnie zgarnęła na bok trochę odzieży i z pod niej, z samego dna skrzynki wyjęła jakiś przedmiot podługowaty i mający kształt wąskiego worka, w górze mocno sznurkiem związanego. Była to czemś wypchana, gruba, niciana pończocha. Krystyna rozwiązała mnóstwo węzłów, na jakie sznur był związany i naprzód wydobyla papierki jedno i trzyrublowe, a później srebrne czterdziestówki, złotych i dziesiątki, a nawet trochę monet miedzianych. Widocznie wkładała ona w pończochę wszystko, co zarobiła. Za dzień pielienia czterdzieści groszy, za dwa dni żniwa cały rubel; za przyniesienie wody gospodyni — sześć groszy, za grabienie siana — dwa złote; za całe dwa tygodnie żniwa — dwie trzyrublowki, trzecia za trzy miesiące dojenia krów u pachciarza, czwarta i piąta zaoszczędzona z parobczej pensji Antka i t. d. Ile razy na jutro i pojutrze były dla niej i dla synów kasza jęczmienna, kartofle, chleb i sól, tyle razy grosz każdy chował się w głębinach nicianej pończochy. Chowały się tam one przez lat dziesięćnaście.

Teraz Krystyna liczyła papierki. Liczyłaby długo, gdyby nie pomagał jej w tem syn. Parobczak, którego pisarz wioskowy na żądanie matki czytać, pisać i rachować uczył, czytać umiał tak mało, że prawie nic, pisać wcale nie umiał, ale rachował niezłe. Miał widać do rachunków szczególną zdolność, i matka go do nich więcej, niż do czego innego, napędzała. Wspólnymi siłami przeliczyli sto rubli. Krystyna przez chwilę trzymała je w ręku, synowi w oczy patrząc.

— To Filipka pieniądze — rzekła.

Parobczak kiwnięciem głowy odpowiedział:

— Wiem.

— Ja ciebie nie skrzywdzę... twoich nie poruszę... Antek ręką machnął, co znaczyć miało znowu:

— Co mi tam!

Błyszczącemi jednak oczyma spozierał w głąb pończochy. Pomimo obojętności, przez szacunek dla matki okazanej, widocznem było, że pieniądze na jego własność przeznaczone srodze go obchodziły. Krystyna, w jednej ręce papierki trzymając, na drugiej twarz wsparła i zamysliła się. I ją także, jak przed godziną Jaśka, zdjął może niepokój o ten grosz, krwawo zapracowany. Ale przypomniały jej się słowa Mikołaja: „Skóra ze mnie od mrozu zlazła i w żołądku wszystko zastęgało... Sześć miesięcy trzęsła mię żółta febra”.

— Jezuu! — jęknęła kobieta i prędko wydobyte pieniądze w zanadrze chowając, półgłosem rzekła do siebie:

— Może Pan Bóg Najwyższy zlituje się...

Wróciwszy do izby, na piec wzięła i do snu się ułożyła.

ROZDZIAŁ CZWARTY. NARADA W KARCZMIE

Świt okna izby pomalował na sino. Na podwórzu koguty piałły to razem, to jeden po drugim. Wróble ogłuszająco zaświergotały za oknem w gałęziach. Za cienką ścianką rozległ się krzyk Maciejowej, największej złoźnicy ze wszystkich bab folwarku. Dziecko jakieś płakało tam, krzycząc wniebogłosy, bite może przez matkę. Inne głosy dziecięce, wesołe, ozwały się w sieni, a potem na podwórzu, szczebiotaniem swym przygłuszając świergot wróble. Parobcy wstawali, poziewali głośnie, wkładali kozuchy i wychodzili do obór i stajni. Pies folwarczny, wielki kundys, żółty z kosmatym ogonem, biegał po dziedzińcu, ujadając na wszystkie strony; wypuszczone z podpiecków kury zanosły się przeraźliwym gdakaniem. Kędyś w oborze brzmiał donośny głos, wydający rozkazy i naganiający parobków do rażnego ich spełniania. Tu i owdzie przesuwaly się przez dziedziniec zielonawe i żółtawe wzgórza, w pary nóg zaopatrzone. Byli to parobcy, niosący na plecach z siennic i stodoły do stajni i obór ogromne wiązki siana i słomy. Wszystkie okienka czworaku zaświeciły złotawo od rozpalonych ognisk. Po chwili, z kominów wywinęły się nici dymu, które potem rozwijały się w kłęby, wilgocią powietrza w dół parte, rozwiewały po dziedzińcu szarą mgłę i ostrą woń sadzy. Deszcz nie padał, ale wszystko na świecie: niebo, ziemia, drzewa, dachy i płoty, zdawały się być tylko co wyjętymi z wody. Parobkom, pomimo ruchu i pracy, nie musiało być ciepło. Chłodna wilgoć marcowego poranku rosła żółte skóry ich kozuchów. Kobiety także odpoczynku nie miały. Warzyły u ognisk strawę ranną i południową, w baljach lub nieckach kąpały dzieci, czesały je i przyodziewały w czyste koszule.

Jaśka i Krystyny już w domu nie było. Oboje wyszli zaraz, gdy tylko parobek ukończył obowiązkową swą robotę. Poszli do karczmy milewskiej, o wiorstę odległej od Wólki. Karczma ta u końca Milewa — długiej i dostatnio zbudowanej wsi położona, miała dużą izbę, ławami i stołami otoczoną, po jednej stronie sieni, a długą i ciemną stajnię poddrugiej. Wszystkie ściany i sufity były zczerniałe i chropowate, wszystkie podłogi ubijane z gliny, i od mnóstwa stóp, które oddawna je deptały, pocięte w głębokie doły.

Teraz w izbie było tłumno i gwarno. Milewscy chłopcy zeszli się tutaj w celu zobaczenia i pomówienia ze swym adwokatem, który już od lat dwóch prowadził proces ich o łąki i orne grunta przeciw dawnemu ich dziedzicowi, Dzielskiemu. Przez Mikołaja zawiadomieni o tym, że pan adwokat poranku tego z Leśnej przejeżdżać będzie, przyszło kilkunastu najroztropniejszych może, a może poprostu tych, którzy z wygrania procesu największą korzyść osiągnąć mieli i największe nań ponosili koszta. Chodziło o to, czy

dadzą pełnomocnikowi rubli pięćset, czy nie dadzą? Jeżeli dadzą, proces napewno i w blizkiej przyszłości wygranym będzie; jeżeli nie dadzą, pełnomocnik nie ręczy za nic. Nieraz już tak bywało. Wydatki ich na ten proces były jak ogromna rzeka, poczynająca się od od małego źródelka. Zrazu przyrzekano im wygrane za rubli trzydzieści; po długich namysłach dali po pół rubla z chaty. Potem, wypłacić wypadło 20, potem jeszcze 10 i znowu 50, potem odrazu 100, potem znów 10, 15 i raz aż 200. Różne te sumy, po długich namysłach, zgadzali się zawsze wypłacić i wypłacali. Kiedy tyle już w interes wsadzili, muszą i tę sumę wsadzić, aby tamte nie zginęły. Teraz szło o wsadzenie jeszcze jednej, ale miała już ona być ostatnią, ta pewnie, jak amen w pacierzu. Wczoraj jeszcze namyślali się, czy wypłacić tak wielką sumę, czy nie, wskutek czego pełnomocnik opuścił ich w wielkim gniewie. Przelękli się tego. Interes zginie i wydane grosze zginą. Mikołaj pocieszył ich wiadomością, że będą mogli dziś adwokata na drodze przydybać.

Przybyło więc do karczmy kilkunastu wybranych, kilku innych przywlekło się z ciekawości i dlatego, że to była niedziela. Jasiak i Krystyna przyszli także i siedli na ławce, w kącie. Wszyscy prawie gospodarze byli obuci i dostatnio wyglądali. Kozuchy na nich były albo zupełnie nowe, z sutemi kołnierzami z czarnego barana, albo przybrudzone i trochę podarte: ale w siermięgach znajdowało się zaledwie kilku. Znać było zaraz, że mieszkańcy Milewa posiadali grunta dobre i dobrze się mieli. Postawy ich i wyrazy twarzy były różne. Niektórzy, siedząc na ławkach, łokcie na stole rozpościerali; inni młodszy, bezwasi, ręce opuściwszy na kolana, z gapowatemi minami wsłuchiwali się w rozmowy starszych. Większość tłoczyła się przed stołem, popychając się wzajemnie, dowodząc, krzycząc, albo przysłuchując się mowie Mikołaja. Ten siedział pod ścianą, pośrodku ławy, wyprostowany i cały błyszczący od świątecznie wyczyszczonych guzików szynela. Kwadrans już prawił on tym, którzy go słuchali, że nie komu innemu, tylko jemu milewscy chłopcy zawdzięczają swój teraźniejszy rozum.

— Głupi bylibyście — mówił — pozwalając Dzielskiemu zasiewać grunt i kosić łąki, których komisja przez omyłkę tylko do planu waszego nie wciągnęła. Dziady i pradziady wasze sieli tam i kosili. Prawda moja, czy nie?

— Prawda to, prawda! — chórem ozwało się kilka głosów, a jeden z nich ciągnął dalej:

— Tylko widzicie, Mikołaju, dziady i pradziady nasze wszędzie sieli i kosili, na caluńskiej ziemi sieli i kosili, a przecie nam caluńskiej ziemi nie oddali... cha! cha! cha!...

Słowa te z trochę szczerą, a trochę złośliwą wesołością mówił Paweł Gozdawa, stryj Jaśkowy, niemłody, siwiejący chłop, w najdostojniejszy kozuch i najpiękniejsze buty ubrany. Był to widocznie najbogatszy z milewskich gospodarzy i po Mikołaju największej wśród nich powagi używał.

— A juści — słowa jego potwierdziło głosów kilka — mówili, że wszystko oddadzą, a teraz i o swoje, człeczce, prawuj się.

Mikołaj głową litościwie kiwał.

— Oj, głupi narodzie! — zaczął — jakże wy chcecie, żeby wszystko odrazu się stało! Sam Pan Bóg przez siedm dni świat stwarzał, a wy chcecie, żeby wam tak odrazu caluńską ziemię oddali...

— Odrazu! — mruknął Paweł — dziewiętnasty rok jak uwłaszczyli, a dziś nic lepszego jeszcze niema...

— Będzie! — uroczystym głosem wymówił Mikołaj. Wskazujący palec wznosił w górę i powtórzył: — Ja wiem, że będzie, wszystko będzie...

— Wszystko? — zadziwił się gapowaty głos jakiś.

— Wszystko! — uderzając w stół pięścią, potwierdził Mikołaj i jął opowiadać, co słyszał i czego dowiedział się na szerokim świecie. Słyszał i dowiedział się, że jeżeli nie w tym roku, to za dwa lata, a jeżeli nie za dwa, to za dziesięć lat, ale calutka ziemia do chłopów należeć będzie, i grunt, i łąki, i pastwiska, i lasy, słowem cała ziemia... Różne książeczki są na świecie, w których stoi, że caluńską ziemię chłopom rozdać trzeba. On te książeczki czytał. Byli różni tacy ludzie, co mu je do czytania dawali, a on czytał i zapamiętał, i teraz mówi im, że wszystko będzie... Jak Bóg na niebie — wszystko będzie, rozkaz na to jest, tylko jeszcze minister go nie puścił. Jak minister puści i po policjach rozeszle, wtedy — wszystko będzie!...

W ten sposób przemawiając, Mikołaj ożywił się, wpadał w zapał. Prawda okazywała się niezbitą, i w to, co mówił, wierzył sam mocno. Mocno też w słowa jego wierzyli, albo wierzyć pragnęli, słuchacze. Mikołaj opowiadaniem i zapewnieniami swemi pobudzał w tych silnych piersiach marzenia najdroższe i chciwe chęci. Dla ludzi tych ziemia była matką — karmicielką, ich kochanką, której od dni dziecinnych całą swą pracę ciężką oddawali. Pożądali jej też, pożądali jej wiele, więcej jeszcze, jak najwięcej, bez końca... A i sam Mikołaj posiadał na końcu wsi chatę z kilku zagonami ziemi i nieraz zagony te w marzeniach swych przedłużał aż pod skraj nieba. I jego więc, gdy mówił o „caluskiej ziemi” ogarniał zapał. Ostrzegał słuchaczy, że rozkaz, o którym mówił i który lada dzień minister z kancelarii swej wypuści, „wszystko zrobi” tym tylko, którzy teraz przy interesach swych obstawać umieją i tego, co do nich należy, innym nie dają...

— Jeżeli Kaprowskiemu grosza pożałujecie i proces z Dzielskim przegracie, minister o tem się dowie i do policji takie rozkazanie przysze: „Milewskim chłopom więcej ziemi nie dawać, bo nie umieli bronić swego i tę ziemię, co do nich należała, dobrowolnie innemu oddali”. O!

Skończył, Chłopi w wielki gwar uderzyli:

— Nie damy! — krzyczeli — zginiemy, a nie damy! Ostatnie woły sprzedamy, duszę żydowi zapredamy, a nie damy! Kaprowskiemu grosze przynieśliśmy. Niech bierze, a nasze odbiera. Twoja prawda Mikołaju. Kto dureń, temu nic nie dadzą, a kto mądry i interesy swoje zna, temu będzie dobrze...

W tej chwili przed karczmą ozwał się turkot kół i dało się słyszeć wołanie:

— Mikołaj! Mikołaj!

Mikołaj zerwał się i podbiegł ku drzwiom, ku którym pocisnęli się gromadnie i chłopi. Wszyscy hurmem wtoczyli się przed drzwi karczmy, przed którymi, na bryczce założonej parą tłustych koni ekonomskich, siedział Kaprowski. Zaczął rozmawiać o czemś z Mikołajem.

Na chłopów ani patrzył. Ci błagali go, aby z bryczki wysiadł i wszedł do karczmy.

— Jaśnie Wielmożny panie — zaczynał Paweł — na chwilkę tylko wejdźcie... pogadamy...

— Na chwilę! — lękliwie powtarzali inni.

— Nie opuszczaj nas, jaśnie wielmożny panie! nie gniewajcie się na naszą głupotę... — siwą głowę aż do koła bryczki chyląc, prawil stryj Jaśka.

— Nie gniewajcie się! — huczał i jęczał chór.

Nakoniec Kaprowski zwrócił ku nim twarz.

— Moi kochani! — rzekł — skoro nie ufacie mi i powiedzieliście wczoraj, że dalszych kosztów interesu ponieść nie chcecie, róbcie, jak się wam podoba. Idźcie sobie do innego. Inny może będzie wam tańszy. Przyslijcie tylko kogo po papiery swoje.

Mówił to bardzo z góry, zimno, ale w duszy myślał sobie: „A nuż naprawdę pójdą do innego!”

— Niech już jaśnie wielmożny pan daruje im tę głupotę — przemówił Mikołaj — oni nic nie rozumieją.

— Wsiądźcie, panie — mówił Paweł — przynieśliśmy pieniądze; ziemi swojej Dzielskiemu nie damy, zginiemy, a nie damy...

— No — rzekł Kaprowski, na bryczce stając — chyba tylko na prośbę Mikołaja...

Wtedy zaczęli wysadzać go z bryczki i do karczmy prowadzić. Podstawili mu pod łokcie swoje czarne, spracowane dłonie, szli przed nim, za nim, dokoła niego, zaglądali mu w twarz, mówiąc, krzyżąc, opowiadając wszyscy razem.

Kiedy Kaprowski wszedł do karczmy, zrazu czuł się nieco zmieszonym i sam nie wiedział, co i jak wypadło mu robić i mówić. Lecz posiadał tu pomocnika w Mikołaju. Gdyby nie on, gromada nie wiedziałaby o istnieniu adwokata; co więcej, nie rozpoczynałaby nawet procesu. Mikołaj to gotował i oczyszczał drogi Kaprowskiemu.

Kiedy już posadzono Kaprowskiego, Paweł w zanadrze sięgnął i garść papierków zza koszuli wyciągnął. Wszyscy inni uczynili to samo i powyjmowali zza koszul garście papierowych pieniędzy. Nad karczemnym stołem wyciągnęło się kilkanaście par rąk: niektóre śmiało i prawie natarczywie, inne, — silne tak, że ogromne ciężary dźwignąć mogły jak piórka, — drżały jednak trochę i cofały się, aby po chwili, ruchem trwożliwym i wahającym wysunąć się naprzód. Kaprowski małemi, chudemi rękami prędko i wprawnie

liczył pieniądze. Chłopi liczenia tego słuchali z uwagą wielką, z pochylonemi głowami. — W odległości widać było szczupłą postać i rudowłosą głowę żyda arendarza, zdala i z urągliwym uśmiechem oczekującego chwili, w której, po załatwieniu interesu, przyjdzie czas powszechnego picia wódki.

— Pięćset! — głośno i dobitnie wymówił Kaprowski, wstał, wyprostował się i mówić zaczął. Mówił prędko. Chłopi słuchali Kaprowskiego pilnie. I jaśnie wielmożny pan mówił: o manifestie dziewiętnastego lutego, o likwidacji, o komitecie do spraw włościańskich, o pałacie, o senacie, ukazach senackich, apelacjach, ustawach prawnych. Młodzież tak szeroko pootwierała gęby, że wróble by w nie wlecieć mogły, starsi zaczęli uśmiechać się błogo i, kiwając głowami, od czasu do czasu wzajem na siebie spoglądali. W uśmiechach ich widać było zupełne uspokojenie, myśleli sobie: „Ależ mądry!” — Nakoniec mówca zakończył przemówienie swe krótko wyrzeczonym pożegnaniem: „Bądźcie zdrowi, moi kochani!” i pochwycił ze stołu czapeczkę. Chłopi rozstąpili się z uszanowaniem, a wtedy Jasiek i Krystyna wysunęli się z kąta, w którym dotąd siedzieli. Mikołaj pochwycił Kaprowskiego za łokieć i bardzo cicho kilka słów do niego przemówił. Adwokat zsunął brwi i z niezadowolaniem ustami cmoknął. Okropnie pilno mu być musiało wyrwać się z karczmy. Ale Mikołaj wepchnął Jaśka i Krystynę do izdebki arendarza, do której też wsunął Kaprowskiego i, sam zostając w karczemnej izbie, drzwi izdebki zamknął. Jasiek i Krystyna znaleźli się przed obliczem adwokata.

Jasiek trzymał się jeszcze nieźle, bo podniosła go nienawiść, którą od wczorajszego dnia zapłonął do swego stryja. Parę dni temu jeszcze rozmawiał z nim zgodnie, prawie przyjaźnie. Nie był nawet pewny, kto z nich obu w danym sporze miał słuszość. „Może moja prawda była, a może jego, niech Bóg sędzi!” mawiał. Paweł ze swej strony nie był złym dla niego. Dziś zmieniło się wszystko. Jasiek, z kąta, w którym był zasiadł, patrzył na stryja spojrzeniem chmurnem i złem. Krystyna, przed tak dostojnym panem znalazłszy się, struchlała. Ręce pod piersiami splotła i oczy pełne łez w Kaprowskiego wlepiając, płaczącym głosem mówić zaczęła:

— Ani mię, jaśnie wielmożny panie, družki na dzieży sadzały, ani mi do ślubu śpiewały...

Wtedy Jasiek, usuwając ją, naprzód wystąpił.

— Ja jaśnie wielmożnemu panu i jej i swój interes opowiem...

Krystyna zlekła się, że Jasiek opowiadać będzie, a ztąd wyniknie szkoda dla Filipka. Z kolei, odpychając Jaśka, zawołała:

— Dziewiętnaście lat synków swoich hodowałam, z postem jadłam...

Parobek szeroką dłonią znowu ją usunął.

— Niech jaśnie wielmożny pan będzie łaskaw wysłucha... — Kobieta, ramię towarzysza targnąwszy, znowu wysunęła się naprzód.

— Mizeractwo to, jaśnie wielmożny panie, od narodzenia samego błady i słabiutki, a potem jak ta gorączka się przywiązała co na nią pięć miesięcy...

Tym razem Jasiek popchnął ją dłonią w piersi tak mocno, że aż oparła się o poręcz żydowskiego łóżka.

— Baba gada, jak wiatr wieje... Niech jaśnie wielmożny pan wysłucha...

— Cicho, Jasiek! — przyskakując znowu, zawołała kobieta. — Kiedy on urodził się, jaśnie wielmożny panie, baby mówiły, że dłużej jak trzy dni żyć nie będzie. Pan Bóg da! Wyżył! Czytać i pisać nauczył się — delikatny.

Skończyło się na tem, że Jasiek opowiadał, a Krystyna, za plecami towarzysza stojąc, chlupała tylko i czasem słówka jakieś dorzucała. Parobek o sprawie jej i własnej mówił powoli, poważnie, chmurnie i dość zwięźle. I w pół godziny z rąk Jaśka i Krystyny w ręce adwokata przeszły paczki krwawo zapracowanych pieniędzy. Potem Kaprowski w izdebce arendarza porozmawiał jeszcze chwilę z Mikołajem, wręczył mu sporą część otrzymanych pieniędzy i odjechał. Mikołaj do kieszeni sukmany pieniądze schował i wrócił do izby karczemnej, gdzie rozchodził się już zapach wódki, wrzały krzyki i kłótnie. Jasiek, który nie wziął z sobą pieniędzy więcej nad te, co adwokatowi wręczył, zażądał wódki na kredyt, co mu się nigdy dotąd nie zdarzało. Pił też jak nigdy dotąd i zaraz wszczął kłótnię z Pawłem. Ten, domyślając się czegoś, słuszości praw swych do ziemi nieboszczyka brata dowodzić zaczął. Spomiędzy świadków jedni przytakiwali Pawłowi, drudzy brali stronę Jaśka, który, dobrze podpiwszy, lżył stryja i dwóch jego synów.

Krystyna tymczasem nie szła, ale leciała z powrotem do Wólki. Zdawało się, że wraz z troską o syna ciężkie kajdany z siebie zrzuciła. Odmłodziła, świeże rumieńce oblekły jej policzki, czarne oczy błyszcząły, jak przed dwudziestu laty. Kiedy tak do czworaka wpadała, siedząca wciąż na przypiecku, Jaśkowa ozwała się uprzejmie.

— A co czy Pan Bóg pocieszył?

Krystyna przypadła do niej i, na ziemi siadając, rozradowana opowiadać zaczęła:

— Wielki pan... Mądry, wielki i bogaty, musi najpierwszy adwokat w Ongrodzie... Pomódz przyrzekł... Powiedział, że można starać się o zostawienie go w Ongrodzie. Czemu nie można? „Jenerała tego pułku, w którym Filipek służy, znam... Z nim pogadam, żeby go do innego pułku przenieśli, tego co u nas zostanie. A jeżeli, powiada, jenerał nie zechce, to do ministra wojny prośbę podamy... A Filipka nie poszłą tam, gdzie od mrozu skóra złazi i żółta febra trzęsie”.

Mówiąc to wszystko, śmiała się z rozkoszą, ożywiona, rumiana. Płaczce niemowlę z kołyski wyjąwszy, zaczęła z niem chodzić po izbie, kołysząc je w ramionach i nucąc. Helena zapytała ją o Jaśka.

— Przyrzekł — zawołała Krystyna — i jemu obiecał, że od stryja ziemię odbierze...

— Chwała tobie Panie Boże! — szepnęła Jaśkowa.

— A gdzie Jasiek? — zapytała.

— Z Milewskimi został w karczmie i weseli się.

W tej chwili otworzyły się drzwi i do izby wszedł odświętnie, w długich butach i zgrabnej siermięzce ubrany, Antek. Powracał z kościoła. Krystyna rzuciła się ku synowi.

— Już Filipek zostanie na służbie w Ongrodzie synku, już braciszek twój miły zostanie.

Parobczak ucieszył się szczerze i zaraz jedzenia zażądał. Dawno już nadeszła pora południowego posiłku. Zjedzono go dnia tego w nieobecności Jaśka, który później przyszedł do domu pijany. Żona zadziwiła się.

— Cóż to jemu stało się? — nigdy z nim tego nie bywało!

Ale jednak, myślała sobie, nie dziwota, jeśli chłop upije się czasem, a jeszcze w taki dzień, który będzie może o losie jego stanowił. Nie gniewała się też na męża, ani postępkem jego nie była zmartwiona.

ROZDZIAŁ PIĄTY. PAN KAPROWSKI ZNÓW PIENIĘDZY POTRZEBUJE

Sporo czasu minęło od bytności Kaprowskiego w Leśnej i Milewie. Nad wsią z jednej strony i nad folwarkiem z drugiej, wzbily się w powietrzu słupy dymów. Stąd i zowąd ciągnęli kosiarze, świecąc z daleka białymi koszulami i przy ostatnich promieniach słońca migocąc kosami. Za kosiarzami, których rozmowy i śmiechy słychać jeszcze było, na drodze, która koło chałupy Mikołaja wiodła, szły grabiarki. Były to mieszkanki wsi Milewa, które do robót polnych najmowały się okolicznym dworom i folwarkom. Dziś po zapłatę dzienną zmierzały ku Wólce. Młode po większej części, wyprostowane, w grubych koszulach i sztywnych samodziiałowych spódnicach, boso i z ogorzalimi szyjami, dokoła których wiły się sznury szklanych paciorek, — grabie, któremi przez dzień cały grabiły na łąkach skoszone siano, niosły tak, że nad głowami ich tworzył się gęsty las. Było ich ze dwadzieścia. Szły prędko i na całe gardło śpiewały jednostajną, przeciągłą, jękliwą pieśń. Mijając chatę Mikołaja, przerwały śpiewanie i potężnym chórem przemówiły:

— Niech będzie pochwalony!

Słowami temi witały siedzącego na progu chaty Mikołaja. Usłyszawszy chóralne pozdrowienie dziewcząt, podniósł głowę, odpowiedział: „Na wieki wieków” i bystrym okiem gromadę kobiet obejrawszy, zatrzymał je na tej zpomędzy nich, która, odłączywszy się od towarzyszek, szła o kilkanaście kroków za niemi, sama jedna. Nie była ona taką wyprostowaną i wesołą, jak tamte. Ta nie śpiewała.

— Hej! Krystyna! — zawołał Mikotaj.

Mógłby jej był nie wołać, gdyż sama skierowała ku jego chacie. Grabiarki, śpiewając wciąż, poszły dalej, ona stanęła przed siedzącym na progu Mikołajem, który z podniesioną twarzą patrzył na nią.

— Cóż tak wleciesz się z roboty, jak nieżywa? — zaczął — pośpiewałabyś sobie z innemi, toby ci zaraz było weselej.

Kobieta głową pokiwała i policzek na dłoni wsparła.

— Oj Mikołaju, Mikołaju! — zaczęła — czy to takiej, jak ja, do śpiewania! Dobrze śpiewać tym, co chłopów swoich i chatę swoją mają. Jam już dwadzieścia lat nie śpiewała, chyba tylko chłopcom moim, albo i cudzym dzieciom do snu, albo do zabawy...

— Dziwna ty baba! — zaczął Mikotaj.

Ale ona, raz zacząwszy, dalej prawila:

— Ani mię dróżki na dzieżę sadzały, ani mi do ślubu śpiewały, ani też złocistego zboża garściami w kąty męzowskiej chaty nie rzucałam. Nie tak ja żyłam, jak inne, i nie tak teraz, jak inne, po tym świecie chodzę...

— Dosyć już, dosyć! — przerwał Mikołaj — ot, chcesz może nowinę wiedzieć? Od pana adwokata list dziś miałem.

Kobieta zmieniła w okamgnieniu postawę i wyraz twarzy. Wyprostowała się, kilka razy z nogi na nogę postąpiła, oczy zapłonęły, grabie gwałtownie zakolysały się nad głową.

— Pisał! o Filipku może pisał? Jezu, mówcie! co z moim synkiem najukochańszym będzie?

— A co ma być! Dobrze będzie. Zostanie się w Ongrodzie i do Milewa na zimowanie go przyślą.

Grabie Krystyny upadły na ziemię. Z krzykiem radości rzuciła się ku mówiącemu tak, jakby ręce jego ucałować chciała.

— Ot, masz tobie, już baba się ucieszyła! — usuwając ją zlekka, ciągnął Mikołaj — a jeszcze niema czego. Jeszcze wyrok nie zapadł.

— Nie zapadł! — prostując się znowu i ręce splatając, powtórzyła kobieta.

— Jużby może wszystko się skończyło... tylko tam jest jeden oficer, taki szelma, że nie pozwala... Co mu zrobić?... co już pan adwokat jego naprosił, co już do niego nachodził się... „Nie pozwolę” — powiada... — „Niech Filip jedzie tam, dokąd mu przeznaczono. Czy to ja syna swego za niego tam poszlę, hę?” Oto co w piśmie pana adwokata stoi!

— A wyście, Mikołaju, mówili, że dobrze będzie... — ściskając mocno ręce, szepnęła kobieta.

— Jeżeli zechcecie, to może jeszcze i dobrze być — odparł Mikołaj. Podniósł potem głowę, palcami prawej ręki uderzył kilka razy w dłoń lewej. Krystyna zapatrzona w niego, ruch ten zrozumiała.

— Znów pieniędzy!

— A ty, babo, coś myślała? Że w takim wielkim mieście taki ważny interes za głupie kilka groszy można zrobić? Ot! nietylko co, ale jeszcze i pan adwokat sam swoich pięciu procentów nie wziął. To wywiadywanie się, a to stemple, a to świadectwa od doktorów, że chory, a tu temu w rękę wsunąć, a to znowu tamtemu... i tak rozeszły się pieniądze, a teraz co z tym oficerem robić?.. Można zrobić, ale znów pieniędzy trzeba... Można i nie zrobić, to i cóż? Powędruje sobie Filipek tam, gdzie i ja byłem... Oj, oj! wielka parada! — straszyl Mikołaj. — Poleży sobie tak, jak ja, w szpitalu na żółtą febrę, i osypie jego tak, jak mnie, wysypka tak duża jak bób, ręce obie odmrozi tak, że popuchną mu tak jak poduchy, albo uszy mu zgniją od tej wysypki i poodpadają. Albow ja na takie rzeczy nie patrzał? Wielka bieda! Może i wyżyje, a jak nie wyżyje to i zamrze... i kości jego daleko pogrzebią... Kruki tylko i wrony na mogiłkę jego zlatywać się będą, a ty nad nią nie zapłaczesz, bo nie zobaczysz jej nigdy. Wielka mi bieda!

Krystyna stała jak w ziemię wryta. Po chwili cicho, jakby do samej siebie, mówić zaczęła:

— Był bladziutki i taki delikatny od urodzenia, a taki potulny i nie zuchwały, jak baranek. Bywało, Antek czasem nie posłucha matki... a on nigdy! Rączynami mię za szyję, bywało, obejmie, i mówi: „Już ja ci mamu nigdy zgryzoty nie zrobię; twoja dola i tak gorzka.” Oczki ma takie niebieskie, jak te kwiatki lnu... a choć słaby był zawsze, wyrósł jak topola. Wyrósł, do wojska go wzięli, a jak mnie zobaczył, na ziemię przedemną upadł, jak przed świętym ołtarzem i kolana moje całował. Oj, dziecko moje najmilejsze, krwawicą moją wykarmione, w łzach moich wychowane! Słoneczko moje złociste, kwiateczku mój, za co ciebie wiatr odemnie w dalekie strony niesie?

Mikołaj, jakby słów jej nie słyszał, rzekł krótko:

— Róbcie, jak chcecie. Mnie nic do tego.

Krystyna grabie z ziemi podniosła i głową na pożegnanie kiwnęła. Na twarz jej wrócił najzwyczajniejszy jej wyraz postanowienia.

— Kiedy pieniądze przynieść? — zapytała.

— A kiedy tam sobie chcesz — z wyraźną niechęcią odmruknął Mikołaj. — Mój chłopiec, co u pana adwokata służy, jutro do miasta poleci.

— Jutro i ja tu przyjdę — odpowiedziała Krystyna i dodała: — Ostańcie z Bogiem, Mikołaju!

— Z Bogiem! z Bogiem!

Sam jeden na progu chaty zostawszy, ręce na kolana złożył i zamyślił się. Czekał jeszcze na kogoś, bo wciąż na drogę spoglądał. Doczekał się na koniec. Spóźniona fura siana sunęła zwolna ku jego chacie. Człowiek, siedzący na wierzchu fury, pozdrowił go wyrazem:

— Niech będzie pochwalony!

— Na wieki! Jasiek?

— A ja!

— Jak będziesz miał czas, przyjdź dziś pomówić ze mną; tylko dziś koniecznie... słyszysz?

— Dobrze. Czemu nie? Przyjdę — spokojnym, trochę leniwym głosem odparł parobek, a że późno już było, zaciął konie i prędkiej już trochę z furą ku folwarkowi zdążył.

Mikołaj dnia tego na ludzi dlatego tak polował, bo pan Kaprowski chłopca przysłał z rozkazem, żeby pieniędzy, ile się da, znowu od ludzi pozbierać.

W czworaku, skoro tylko wieczerza została zjedzona, a Jasiek i jego żona zasnęli, Krystyna i Antek wsunęli się do komory. Tak, jak przed trzema miesiącami, kobieta znowu siadła na ziemi: skrzynkę otworzyła, a parobczak, stojąc za nią, trzymał w ręku palące się luczywo. I tak, jak przed trzema miesiącami, z dna skrzyni ukazała się znowu pończocha, już tylko w dwóch trzecich pieniędzmi napelniona. I tak samo jak wtedy, Antek przyglądał się temu, lecz kiedy już sumę potrzebną odłożyła, zapuścił wzrok w głąb pończochy i z niejakim wahaniem w głosie rzekł:

— Mamo, a to co zostało, to już moje!

— Twoje, synku, twoje — powiedziała i nad policzonymi tylko co pieniędzmi zadumała się przez chwilę.

— Taki to pogrzeb z księdzem i chorągwiami! Taka to piękna trumna! Taki to krzyż na mogile, piękny, malowany! Jak pies żyłam, jak psa mię pogrzebię. Oj Filipku! na śmierć ja sobie te pieniądze chowałam, na śmierć dostatnią, chrześcijańską i mogiłę śliczną, co by mi nagrodziła wstyd, który podczas życia piłam... Ale... wola Boża! Śmiertelne te pieniądze moje na twój ratunek, dziecko ty moje, oddaję...

Parę łez kapnęło z jej oczu na miedziane i srebrne monety. Antek szeptał jej słuchał z ponurą trochę miną.

— Ale moich, to już, mamu, stąd nie bierzcie... żeby tam niewiem co, nie bierzcie! Dość już nadawaliście Filipkowi, niech i mnie troszkę dostanie się... Wszakże i ja dziecko wasze, nie czyje... Słyszycie, matulu!

Spojrzała na niego ze zdziwieniem. Oczy chłopca paliły się takim ogniem, jakiego w nich nie widziała dotąd; głos też jego dziwnie był zmieniony.

— A czyżeś ty dziecko? — odpowiedziała — wiadomo moje, tak jak i Filipek. Na obydwóch was pracowałam i obydwóch strzegłam jak oczu w głowie... tylko, że teraz tamten biedniejszy; ty tu i dzięki Bogu zdrow i silny, a on słabutki, niedomaga i szła go tam; gdzie żółta febra i taka wysypka, od której uszy gniją i odpadają... To ja, widzisz synku, dla tego oddałam mu te pieniądze jego i swoje śmiertelne...

— Ale moich to już nie oddacie — powtórzył Antek i dodał jeszcze: — a jeżeli oddacie, to wam tego do śmierci nie zapomnę... Dalibóg, że nie zapomnę!

— Nie oddam, synku, nie oddam! Te już tylko poszłę... oficer ten zgodzi się i dekret zapadnie, że Filipek do Milewa na zimowanie przyjdzie...

— No, dobrze, i ja sam tego chciałbym bardzo — zakończył uspokojony już parobek i pomógł matce skrzynkę zamknąć.

Na drugi dzień raniutko Krystyna pieniądze Mikołajowi zaniosiła. Jasek także na sprawę ze stryjem kilkanaście rubli dołożył. Pan Kaprowski dnia tego ręce z radości zacierał, kiedy mu syn Mikołaja sto z górą rubli ze wsi przyniósł.

ROZDZIAŁ SZÓSTY. JESZCZE PIENIĘDZY!

W trzy miesiące później Mikołaj znów obchodzić zaczął znajome chałupy. Poszedł naprzód do Milewa, gdzie długo rozmawiał z Jaśkowym stryjem, Pawłem. Potem Jaśka, wiozącego z pola furę grochu, spotkał i zatrzymawszy go na drodze, czytał coś parobkowi tak cicho, aby inni parobcy, z furami grochu też nadjeżdżający, rozmowy ich słyszeć nie mogli. Nakoniec udał się tam, gdzie kobiety z Krystyną grykę rwały. Tam zabawił najdłużej i o zachodzie słońca zaledwie do domu wrócił.

I znów drożyną wijącą się po rozległym ściernisku szła ku folwarkowi Krystyna. Przez dzień cały ze zgiętym ku ziemi grzbietem grykę rwała, a teraz od tego, co jej Mikołaj powiedział, głowa jej stanęła w ogniu i zimne dreszcze po skórze przechodziły. Prędzej spodziewała się śmierci, niż tego, co usłyszała. Pieniądzy! jeszcze pieniędzy! i wiele, jak najwięcej, tyle, ile posiada, lub posiadać może! Inaczej i Filipek przepadnie i te pieniądze, które już dla zbawienia jego wydała, także przepadną. Za trzy dni ostatecznie dekret na Filipka ma zapaść. Uparty ten oficer już dał się ułagodzić, ale teraz znowu bieda! Pan adwokat do Mikołaja pisał, że przyjechali jakieś rewizory, wojskowe rewizory, ważne jenerały, które interes cały zepsuć mogą. Żeby oni byli nie przyjechali, to już wszystko byłoby dobrze, ale wzięli i przyjechali, i bez zgody się ich nic nastąpić nie może. Pan adwokat do Mikołaja pisał, że jeśli baba da pieniądze, to on podejmuje się i z rewizorami o interesie jej pomówić; a jeżeli nie da, to już on nic nie poradzi, ręce od wszystkiego umywa i za trzy dni zapadnie dekret, żeby Filipka wysłać tam, gdzie ot, niedawno temu, jeden znajomy Mikołaja płuca całe z siebie wypluł. „Jak Boga kocham”, mówił Mikołaj, „na suchoty od mrozu zachorował i jak zaczął płuć, to mu calutkie płuca przez gardło wyleciały”.

— Boże! bądź miłościw mnie biednej! — zaszepotała kobieta, idąc ścieżką, wijącą się po ściernisku.

Pieniądzy! skądże ona ich weźmie? nie ma już ich wcale, bo te, które w skrzynce na dnie pończochy jeszcze pozostały, nie są jej własnością. Toć te już do Antka należą. Żal jej było i Antka. Za co go krzywdzić miała? Wszak i on także był jej dzieckiem, tak jak i tamten. I gdyby pieniądze jego na rzecz tamtego zabrała, gniewałby się na nią bardzo. Powiedział to przecież! Lubili ją synkowie do tego czasu i słuchali we wszystkim; teraz tamtego, tak czy inaczej długo już przy niej nie będzie, a ten jak się rozgniewa i serce do niej straci, to co jej zostanie? Ostatnie słonko jej na tej ziemi zagaśnie. I tak źle, i tak niedobrze. Co tu robić?

— Boże, bądź miłościw mnie biednej!

Żeby tak było kogo się poradzić! Jasek dobry człowiek i zgodny, ale co on jej może poradzić?... taki on mądry, jak i ona. Z Antkiem o tem ani gadać. Nie pozwoli brać tych pieniędzy; z oczu mu wtedy poznała, że nie pozwoli. Więcej już nie wymyśli, do kogo pójść i o radę poprosić, za nic nie wymyśli. Żywej duszy przyjaznej na tym świecie nie ma... Są jacyś krewni w Milewie, ale co to za krewni! Dalecy i oddawna już jej znać nie chcą. Nikogo, nikogo bliższego na tym świecie nie ma.

— Boże, bądź miłościw mnie sierocie! A może pójść do Wyszyńskiego? Dwa miesiące temu pytała się go przecież o radę. Nic jej nie pomógł. A jednak jeśli teraz te pieniądze posłała, to jużby najpewniej Filipek wojskowanie swe w tych stronach dosłużył, do Milewa na zimę z wojskiem przychodził i na koniec świata, gdzie takie mrozy i choroby straszne panują, nie wędrował. I wydało się jej, że błady jej chłopak z oczyma jak kwiatki lnu, do niej zdaleka ręce wyciąga i woła: „Kiedy zechcecie, mam to poratujecie mnie, a kiedy nie zechcecie, to nie poratujecie”. Antek zdrow i silny, pieniądze swoje mieć będzie, a ja teraz ani pieniędzy, ani siły nie mam. Pójdę na skraj świata, przepadnę. Siadła na kamieniu, bo nogi jej osłabły. Na rozległe ściernisko spływał zmrok, pod ściemniałym niebem błyskały gwiazdy, zapach ziół polnych i wysychającego siana napępniały powietrze.

I zdawało się jej, że widzi, jak jej dziecko — dziecko ukochane, idzie po szerokim świecie w obce strony. Ojca nie znał, ale na matkę ogląda się i mówi: „Nie pomogliście

mnie, mammo, oj, nie pomogliście mnie sierocie, ojca nieznającemu!”... A oto i wrony i kruki czarne chmurą zawiesiły się nad mogilką żółtą, bez krzyżyka i trawki... Zawiesiły się chmurą wielką wrony i kruki czarne nad mogilką bladego chłopca, i kraczą, kraczą, kraczą...

Zerwała się z kamienia. Postanowiła pójść do Ongrodu, Filipka zobaczyć i z adwokatem pogadać.

— Pogadam z nim sama — myślała — ręce i kolana mu ucałuję, żeby już za te pieniądze, co dałam, interes zrobił, a więcej nie żądał...

Słyszała dziś, jak Paweł Gozdawa, Jaśkowy stryja, mówił drugiemu chłopu, że po północy wybiera się do miasta, aby z adwokatem pomówić! Pójdzie on piechotą, bo konia teraz od pługa zabierać nie może... ona zejdzie się z nim gdzie na drodze i razem powędrują do miasta i do adwokata.

Ale... czy wziąć z sobą pieniądze Antka, czy nie brać? Możeby lepiej nie brać? A może na wszelki przypadek wziąć.

W nocy, kiedy w czworaku wszyscy już spali i Antek pod piecem na sienniku chrapał, Krystyna zsunęła się z pieca i boso, na palcach, ku drzwiom komory skradać się zaczęła. Pochylona, skurczona, krokiem złodziejki wsunęła się do komory i do skrzynki swej przypadła! Syn jej już tym razem zapalonem luczywem nie świecił. Jak złodziejka w ciemności i cichutko skrzynkę otworzyła, pończochę z pieniędzmi na dnie jej namacała i nie rozwiązując w zanadru ją ukryła. Policzki jej płonęły, ręce trzęsły się. Nigdy w życiu nic nie kradła. Teraz zdawało się jej, że syna rodzzonego okrada.

— Boże! bądź miłościw mnie grzesznej! — szeptała.

ROZDZIAŁ SIÓDMY. W ONGRODZIE U ADWOKATA

Okolo godziny jedenastej zrana przedpokój w mieszkaniu Kaprowskiego w Ongrodzie napelniony był ludźmi. Wszyscy czekali, aż pan adwokat ze snu się obudzi i każdego po kolei do pokoju swego zawezwie. W kącie siedział na stołku Paweł Gozdawa. Siwiejący ten chłop, w długiej siermiędze i butach, trzymał w obu rękach czapkę barankową i na piersi zwiesiwszy głowę, dumal i czekał. Dumając, drzemał trochę, a ilekroć żydzi w oknach stojący głośniejszą trochę zaszwargotali, budził się, gęstą czuprynę podnosił, na drzwi spoglądał i ujrawszy, że wszystko jest jeszcze po dawnemu, znowu głowę na piersi opuszczał i oczy przymykał.

Pomiędzy Pawłem a drzwiami, plecami o ścianę oparta, stała Krystyna. Głowa jej okryta była perkalową, czerwoną chustką; zpod krótkiej siermięgi i dłuższej nieco samodzielowej spódnicy ukazywały się nogi, obute parą grubych i płytkich trzewików, jedyną parą, którą sobie przed piętnastu laty kupiła i kładła wtedy tylko gdy do kościoła lub do miasta wejść miała. Przez całą drogę trzewiki te niosła w ręku i przy wejściu do miasta dopiero, na ziemi usiadłszy, na nogi je kładła. Teraz plecami do ściany przyparta, ręce wsunawszy w rękawy siermięgi, dumiała i czekała. Po długim czekaniu wreszcie zawołano ich do pokoju pana adwokata.

Wchodzili jak do kościoła, powoli, ostrożnymi krokami, z pochylonemi głowami. Gozdawa nawet, który w charakterze delegata wsi milewskiej, znajdował się tu już kilka razy, a dostatniejszym i zuchwalszym był od innych, z czapką w ręku, u samego progu jak wryty stanął. Krystyna zato tym razem okazała śmiałość niespodziewaną. Nie sama tylko myśl o pieniądzech przywiodła ją tutaj. Od samego już progu wlepiła wzrok swój w stojącego adwokata i prędko, ciężko, ze stukiem grubych podeszew przeszedłszy pokój, wprost na ziemię przed nim padła i kolana jego obu ramionami objęła. Kaprowski cofnął się nieco i wydzierając jej ręce, które ona pochwyciła i pocałunkami okrywała, niecierpliwym głosem burknął:

— No, no nie trzeba... nie trzeba... mów, czego chcesz!

Mówił to głosem zniecierpliwionym.

Ale teraz Kaprowski zapomniał, czego ta baba mogła chcieć. Prowadząc interes na spółkę z Mikołajem, nie zawsze wiedział, jakimi sposobami ten ostatni od ludzi pieniądze wyciągał. Jakiś syn słabego zdrowia, żołnierz podobno, czy coś takiego? — myślał sobie. Ale może to nie ta z synem żołnierzem, lecz wcale inna. Marszcząc brwi, powtórzył.

— Czego chcesz? Mów prędko.

Wyprostowawszy się, Krystyna zaczęła mówić:

— Ja, jaśnie wielmożny panie, o mego Filipka... Ze świtem dziś do miasta przyszedłam i najpierw chciałam z synkiem się zobaczyć.. Ale potem złąkłam się, że jaśnie wielmożnego pana nie zobaczę, przyszedłam tu i czekałam...

— No, to i dobrze, ale czegoż chcesz odemnie?

— O synka mojego Filipka...

Kaprowski namyślił się.

— A gdzie ten twój synek? — zapytał.

Westchnęła ciężko.

— A gdzieżby on był, jaśnie panie! Kiedy ostatni raz widzały go oczy moje, był w karczmarach. Słuszny, jak topolka... Błady... W szyneliku... Na schody wyskoczył, do nóg mnie upadł, wołając: „Matulu, proście, żeby mnie tu zostawili”...

Teraz Kaprowski już przypomniał sobie, o co chodziło.

Krystyna mówiła dalej:

— Ani mię, jaśnie wielmożny panie, družki na dzieży sadzały, ani mi do ślubu śpiewały, ani ja własnej chaty, ani ludzkiego uszanowania nigdy nie zaznałam. Pracowałam, skórę sobie z rąk zdzieralam i synków swoich, dwa słoneczka moje jedyne, hodowałam i pieściłam... Oj, kochałam, pieściłam i w poczciwości hodowałam. Ani oni złodzieje, ani pijaki: ludziom usłużni i matce posłuszni. Prędejbym każdy rękę sobie uciął, niż matkę skrzywdził... Ot, jak ich wychowałam. Sama! Nikt nie pomagał.

Kaprowski myślał.

Ona, posmutniawszy, znowu mówiła dalej:

— Do jaśnie wielmożnego pana, ja, jak do Pana Boga... Powiedział Mikołaj: zanieś panu pieniądze, on Filipkowi pomoże... Zaniósłam najpierw te, co dla Filipka zapracowałam... Powiedział potem o tym oficerze, co to nie zgadzał się... ja i te pieniądze, co na śmierć sobie schowałam, jemu oddałam, żeby on jaśnie wielmożnemu panu dla tego oficera posłał. I już serce mi się radowało, że Filipek wyratowany, że go na zimowanie do Milewa przysłał.

Teraz Kaprowski zupełnie już wszystko przypomniał sobie o tej babie. Chciał przerwać jej mowę, aby prędzej z nią skończyć, ale ona dodała jeszcze:

— A teraz, jaśnie wielmożny panie, ja przyszedłam, żeby o tych rewizorach się dowiedzieć... Co by tu zrobić? Niech jaśnie wielmożny pan ratuje mnie biedną, żeby te rewizory Filipka wysłać nie kazali...

Znowu Kaprowski nie wiedział, o jakich to rewizorach baba mówiła. Wszystko to było tylko bajką, którą Mikołaj dla zastraszenia biednej kobiety i wyludzenia pieniędzy wymyślił.

— A któż ci o tych rewizorach gadał? — z niecierpliwością zapytał, chcąc wyciągnąć wiadomość od Krystyny.

— Mikołaj, jaśnie wielmożny panie! A któżby, jeżeli nie Mikołaj! Powiedział wczoraj: pan adwokat pisał do mnie tak a tak... Ja myślałam i myślałam... Boże mój, Boże! Co ja zrobię! wzięłam i przyszedłam...

Kaprowski pomyślał chwilę.

— A mówił-że Mikołaj, że pieniędzy potrzeba?

Kobieta znowu pochyliła się mu do kolan, a wyprostowawszy się, strwożone oczy w twarz jego wlepiała i drżącym głosem mówić zaczęła:

— Jaśnie wielmożny panie, bądźcie nademną litościwi — zróbcie już teraz bez pieniędzy. Toż ja już tyle dałam. I Filipka pieniądze oddałam, i swoje śmiertelne oddałam. Zróbcie już teraz tak, bez niczego... Skąd ja wezmę?

Kaprowski nachmurzył się i znowu zapytał:

— Czy Mikołaj ci nie mówił, na co, dlaczego, ile potrzeba?

— Mówił, jaśnie wielmożny panie, wszystko mówił... Ale, panie najmiłościwszy, zlitujcie się nademną i zróbcie co z temi rewizorami... Tak już, bez niczego...

Kaprowski zeszywniał, podniósł głowę i wyjął usta.

— Moja kochana — rzekł zimno — powiedzże ty mnie: Czy ja jestem Panem Bogiem?

— Nie.

— A no! Kiedy nie jestem Panem Bogiem, to jakże chcesz, ażebym cokolwiek mógł zrobić bez pieniędzy. Pieniądze na tym świecie, to, moja kochana, wszystko. Bez pieniędzy człowiek sam nic nie wart i interes jego nic nie wart.

W ciągu tej przemowy Gozdawa w sutej siermiędze i z roztrópnym, śmiałym wyrazem twarzy, wsłuchiwał się w mowę jego tak uważnie i z takim wygięciem szyi, jakby każde słowo chciwie połykał. Przytym, od czasu do czasu, potwierdzająco głową wstrząsał, uśmiechał się i oczyma błyskał. Krystyna ani razu nie podniosła oczu, ani rąk u piersi złożonych nie rozplotła. Gdy Kaprowski przestał mówić, podniosła z wolna powieki i raz jeszcze swoje prawic zaczęła:

— Jaśnie wielmożny panie! zlitujcie się nademną, zróbcie już teraz tak... bez niczego...

Kaprowski uczynił gniewne poruszenie.

— Jeżeli pieniądze nie nasz, nie trzeba było tu przyłazić, aby mnie tylko nudzić i czas mi zajmować. Idź sobie! no, ruszaj z Panem Bogiem!

Krystyna zdreptała z trwogi. Możnaby myśleć, że gniew adwokata przemienił ją w ślup niemy i martwy. Złękła się okropnie. Wypędzają. Jeżeli wypędzi — to nic nie robi, a jeżeli nic nie robi, to co będzie z Filipkiem i z temi pieniędzmi, które już dla niego wydała? Ręka jej podniosła się ku piersi, a palce wsunęły się za siermięgę, — jakby z zanadra coś wydobyć miały. Na myśl jej przyszedł Antek. Boże mój, Boże! Toż to jego pieniądze, a on jest jej dzieckiem, tak samo, jak i tamten! Przypomniała sobie szorstki głos jego i srogie spojrzenie, z jakim mówił jej niegdyś, aby jego pieniądze nie oddawała, za nic nie oddawała, bo do śmierci jej tego nie zapomni! A jak nie zapomni i serce swoje od niej odwróci? Ale tamten? Obejrzała się i na Gozdawę rzuciła spojrzenie prawie nieprzytomne. Spojrzeniem tym zdawała się mówić:

— Ty chłop jesteś, tyś mądrzejszy odemnie głupiej baby! Jeżeli Boga masz w sercu, ratuj! poradź!

Gozdawa też i sam już z radą pośpieszał; przybliżył się ku Krystynie i szeptać coś zaczął, prawie do ucha. Włościanie milewscy nie tyle, co ona, dali i dadzą jeszcze, a cóż? Kiedy trzeba, to trzeba! Krystyna słuchała szeptu roztrópnego gospodarza, ale wahała się jeszcze. Myśl o Antku, o krzywdzie, jakąby mu wyrządziła i o stracie jego przywiązania, kuła ją w serce i powstrzymywała rękę. Nagle postąpiła ku ścianie i, plecami do pokoju zwrócona, wydobywała z zanadra grubą, nicianą pończochę, u końca sznurkiem przewiazaną. Długo ją rozwiązywała i znowu do biurka podeszła. Dźwięk wysypywanych na stół monet rozległ się po pokoju. Kaprowski patrzył i śmiał się.

— Ależ pieniądze! Dwuzłotówki, czterdziestówki, złotówki, dziesiątki, szóstki nawet — wszystkiego pełno!... Cha, cha, cha, cha! Skąd ty, babo, takich pieniędzy tyle nabrać mogłaś?

Rozsypane monety wyraźnie mówiły: za dzień pielenia pszenicy, za dwa dni żniwa, za przynoszenie wody, za dojenie krów u pachciarza, za rwanie gryki, za zbieranie kartofli... za grabienie siana... Przez lat dziewiętnaście... Przez lat dziewiętnaście, przez lat dziewiętnaście!..

Pieniądze, przez Krystynę na biurko wysypane, mówiły i opowiadały o smutnej doli, o ciężkiej pracy, o wiecznym poście; o karku, po dniach całych ku ziemi schylonym; o czole, zlewanych strumieniami potu; o stopach bosych, rękach bliznami i guzami pokrytych...

— Czegóż chcesz jeszcze? — dość łagodnie zapytał Kaprowski.

— Jaśnie wielmożny panie! — to już te rewizory tera nic nie zrobią?

— Nic, nic nie zrobią, bądź spokojną i wracaj do domu.

— Najmiłościvszy panie! — zawołała — niech panu Pan Bóg wszechmogący wynagrodzi... już ja więcej panu dokuczać nie będę... pójdę tylko z synkiem zobaczyć się do kazarm...

Radość twarzy jej rozpromieniła, ale Kaprowski nagle złął się czegoś.

— Ani waż się, moja kochana, ani waż się iść do syna... zobaczyć go teraz nie możesz.

— Panie najjaśniejszy! — zawołała — pozwólcie mnie dziecko moje zobaczyć... pozwólcie mnie zobaczyć go choć na minutkę, na minuteczkę, choć żeby ja raz na niego spojrzęła...

Upadła mu do nóg i nie tylko obejmowała, ale i całowała jego kolana. Kaprowski stanowczym tonem rzekł:

— Moja kochana! zobaczyć teraz syna twego nie można... uchodzi on za chorego i jest w takim miejscu, do którego nikogo a nikogo nie wpuszczają. Jeżeli nie chcesz, aby cały interes djabli wzięli, wracaj co tchu do chaty, co tchu, zaraz, natychmiast i siedź cicho... ani się tu pokazuj... czy słyszysz?

Jakżeby słyszeć nie miała, kiedy słuchała uszami, oczami, całą duszą. Słuchała i rozumiała. Jeżeli napierać się będzie o zobaczenie Filipka, interes djabli wezmą.

Cicho wyrzekła:

— Dziękuję jaśnie wielmożnemu panu! Jam już kontenta i do chaty pójdę! Żęby tylko te rewizory nic nie zrobili, żeby Filipek na zimowanie do Milewa przyszedł... Dziękuję jaśnie wielmożnemu panu.

Odwróciła się i wyszła z sali.

Do stołu przybliżył się Paweł Gozdawa. Dla tego chłopca Kaprowski miał uszanowanie i o interesie, z jakim zwykle do niego przybywał, pamiętał wybornie. Milewscy chłopci, których delegatem był Paweł, znaczyli więcej, niż jakaś baba wyrobnicza. Kaprowski szufladę odsunął, proponując Gozdawie, aby wysłuchał podania do sądu, które on w sprawie ich napisał. Ale Paweł nie chciał zrazu słuchać.

— Niech wielmożny pan posłucha — rzekł — podanie później przeczytamy, a teraz ja względem tego interesu z Jaśkiem. Ja wiem, że wielmożny pan ten interes jego prowadzi... i przyszedłem prosić wielmożnego pana, żeby pan tak prowadził, żebym ja wygrał...

Błyszczące oko chłopca tkwiło w twarzy adwokata, uśmiechał się i prawą ręką w nadgarzku sięgnął.

— Wielmożny pan sam mówił, że człowiek bez pieniędzy, to jak złamany kołek w płocie? Na co go podpieierać, jak on czy siak, czy tak, zawsze będzie krzywy?... Jasiek ten, to taki jest, jak ten kołek.

Kaprowski na fotelu usiadł i żartobliwie zapytał.

— No, a wieleżes ty tam przyniósł?... pokaż! może warto będzie ciebie popieierać, a może nie warto! Zobaczymy!

Po kwadransie Gozdawa wesoło wyszedł z mieszkania Kaprowskiego.

Krystyna znajdowała się już za miastem. O parę staj od ostatnich domostw miejskich, aby dostać się na drogę, którą iść miała, przejść jej trzeba było wąskim szlakiem, na którym leżały rzędy szyn żelaznych. Za kilka minut przechodzić miał tędy jeden z pociągów. Stróż, ujrawszy kobietę, szybko ku roгатce nadchodzącą, zawołał:

— Nie wolno!

O kilkanaście kroków od roгатki stanęła, a rozwiązawszy chustkę, którą w ręku niosła, wyjęła z niej sporą kromkę czarnego chleba, którą szczyptą soli posypała i jeść zaczęła. Od wczorajszej wieczery nic w ustach nie miała... Jadła więc i rozglądała się dokoła. Wtem, tuż za nią, męski głos jakiś zapytał stojącego u roгатki stróża:

— Co to znaczy? W tej porze pociągi nigdy nie przychodzą... Jakież to będzie pociąg?

Stróż odpowiedział:

— Żołnierski. Rekrutów gdzieś powiozą...

Krystyna wstała, jakby w słup przemieniona. Zapewne pytała sama siebie, czy to te żołnierze, z którymi Filipek jej na skraj świata miał odjechać? — Nagle czarny komin zapiszczał przeraźliwie, długo; pisk ten powtórzył się jeszcze razy parę i pociąg wysuwać się zaczął, coraz prędzej... coraz prędzej sunął po żelaznych szynach... pół minuty, a za spuszczonego dziobem roгатki przeleciało wszystko... Długi szereg czarnych, zamkniętych, wozów, a przez okna widać było mnóstwo twarzy, z krótko przyszyżonymi włosami i tłumnie patrzących przez małe okienka, i słyhać było pieśń żołnierską, huczną, wesołą, a jednak tu i owdzie przetykaną jęklivymi tony, niby z rozhukanych piersi rwącemi się krzykami bólu... Zaszumiało, zatętniało, zaśpiewało i — poleciało.

Twarz Krystyny stanęła w ogniu, a zmarszczki drgały na niej, jak struny, gwałtownie. Niby żelazne jakieś kleszcze ścisnęły jej serce i zdjęła ją taka żałość, że byłaby z rykiem płaczu na żółtką ziemię upadła. Wydało się jej niby, że w jednym z tych czarnych wozów Filipek na skraj świata odjeżdżał, że w tłumie twarzy dostrzegła jego twarz bladą, smutną, mizerną. Ale pewna była, że się myli; przypomniała sobie, że Filipek zostaje, że go pan adwokat gdzieś przed rewizorami schował, że skoro rekruci już pojechali, a on z niemi nie pojechał, to znaczy, że już został i służyć będzie w Ongrodzie.

Poszła więc uspokojona do domu.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Okolo zachodu słońca Krystyna była już w Wólce. Dała dzieciom po groszowym obwarzanku, kupionym dla nich w jednej z przydrożnych karczem, i wnet krzątać się zaczęła około ognia i wieczerzy. Ogarnęła ją teraz wielka wesołość. Wszystko, dziękować Bogu, skończone. Rekruci pojechali, a Filipek jej został. Pieniędzy wprawdzie niema już wcale; pusta pończocha, za koszulę wsunięta, piecze ją trochę, przewiduje gniew i skargi Antka, ale za to swoje zrobiła, — synka wyratowała. Jaśkowa przewlekłym od słabości głosem skarżyć się zaczęła, że bardzo niespokojną jest o męża. Dowiedział się o tem, że stryj do miasta pojechał do adwokata, chcąc go na swoją stronę przekręcić... Poszedł zrana do karczmy, aby rozpytać się o zamiar Pawła chłopów i arendarza: na obiad wrócił trochę pijany i stryja kłął, na czem świat stoi. Strach jak on go teraz nienawidził. Żeby ona była wiedziała, że go taka nienawiść do stryja i ochota do wódki napadnie, nigdyby mu nie doradzała procesu tego rozpoczynać. Ale teraz zapóźno, — już stało się! Pieniędzy na interes wydali dużo i choć zapożyczą się, a na swoim postawie muszą, i ziemię od Pawła odebrać! Krystyna zapytała ją, gdzie teraz był Jasiek.

— W karczmie! Mówił, że będzie póty siedział w karczmie, aż stryja wracającego od adwokata dopilnuje...

— A jak dopilnuje, to co?

— Oj, główko moja biedna! — jęknęła kobieta — albo ja wiem co? Wiadomo pijany i strasznie nienawidzący...

Błękitne oczy szeroko otwierając, szepnęła ciszej:

— Wiecie, Krystyno? żeby on tylko jakiego, broń Boże, kryminału się nie dopuścił!

Wyznała Krystynie, że nietylko posag jej został już na proces z Pawłem wydany, ale jeszcze u ojca jej kilkanaście rubli i u arendarza drugie tyle pożyczili. Okropny niepokój dręczył ją i o los tych wydanych pieneędzy, i o to, aby Jasiek, pijany i zły, nad stryjem swoim nie dopuścił się czego złego. Krystyna uspakajała ją:

— Adwokat dobry człowiek: Pawłowi nie da się w inną stronę przekręcić. Kiedy przyrzekł, to dotrzyma. Jej rzekł i dotrzymał. Co zaś do Jaśka, to co on złego zrobić może? Paweł z miasta na piechotę idzie, ale idzie z kumem swoim, z którym spotkał się w mieście... I biały dzień przecież jeszcze, i karczma pełna ludzi, boć to niedziela...

Helena uspokoiła się trochę.

— Pobiegnę do karczmy, zobaczę, co tam takiego się dzieje, i duchem powrócę, żeby tobie oznajmić... No, nie frasuj się tak i nie jęcz, bo jeszcze zamrzesz.

Krystyna biegła już do drzwi, gdy otworzyły się one i z worem, zawierającym ćwiartkę żyta na plecach, wszedł Antek. Krystyna pomogła mu wór zsunąć na ziemię; a potem go za szyję objęła i w czerstwe ogorzałe policzki wycalowała. On całował ją także.

— A co słyhać mam? Filipek zdrow?

— Zdrow, gołąbku mój, zdrow! — śmiejąc się i białe zęby ukazując, mówiła kobieta.

— Rekruci już pojechali, a on nie pojechał; gdzieś go pan adwokat, daj mu Boże zdrowie, przed rewizorami schował. Został w mieście i na zimowanie do Milewa przyjdzie.

Parobczak ucieszył się tą wiadomością.

— No, to i dobrze — rzekł — a ja myślałem, że on już pojechał.

— A czemuż ty tak myślałeś? — zapytała Krystyna.

Antek za siermięgę sięgnął.

— A bo oto pismo jest do was... od niego... Jakób Szyłko dzisiejszej nocy, zaraz potem, jakście stąd poszli, z miasta tędy jechał, do czworaka dostukał się i mnie to pismo oddał. „Do Krystyny”, powiedział — „od Filipka, sam mnie to pismo oddał i powiedział, że pilno!” — Wyszedłem za nim, żeby się rozpytać, co i jak, ale on na wóz siadł i pojechał. Do chaty przed świtem chciał wrócić, bo kobyłę wziął od pług...

Krystyna stała jak skamieniała, list, podany jej przez syna, w ręku obracając. Nagle porwała się z miejsca i syna za siermięgę pociągnęła. Do Mikołaja pobiegła. Mikołaj wszystkim prawie okolicznym chłopom czytywał otrzymywane przez nich listy. O kilkadziesiąt kroków od zabudowań folwarcznych, do uszu matki i syna, spieszenie idących drogą, doleciały od strony karczmy wielkie krzyki i gwary.

— Tam co takiego? — mruknął Antek.

Ujrzeni gromadę ludzi, w stronę folwarku zdążającą. W tłumie rozpoznali kilku parobków folwarcznych, szamoczących się z człowiekiem jakimś, którego przemocą prowadzili. Człowiek wydierał się im, wykrzykując zmieszane, straszliwe przekleństwa. Był to Jasiek. Wyglądał strasznie: pijany, bez czapki, z rozczochraną czupryną, twarz miał okrytą sinemi plamami od uderzeń, podartą w kilku miejscach siermięgę. Miotał się, wrzeszczał, kłął okropnie, oczy krwią, a usta pianą mu zachodziły. Aniby w nim poznać było spokojnego i rozważnego parobka. Podobny był do zwierzęcia, którego namiętność jakaś we wściekłość wprawiała. Prowadzący go parobcy ze swej strony krzyczeli także i śpieszące za tą gromadką dziesiątki bab i dzieci wiejskich krzyczały, śmiały się, podskakiwały. Antek, jednego z parobków zagabnąwszy, ciekawie rozpytywać zaczął, co to się z Jaśkiem stało i za co tak, jak winowajcę, do folwarku ciągną.

— Na stryja swego po pijanemu napadł i zbił go strasznie, po policją posłali — odparł parobek.

Antek stał z otwartymi ustami.

— A! — dziwił się — taki był porządny człowiek i nigdy nie pijał. Tak mu się Pawłowej ziemi zachciało, czy co?

Wchodząc do Mikołajowej chaty, pokłonili się i rzekli:

— Niech będzie pochwalony!

— Na wieki wieków! — odpowiedział Mikołaj.

Usłyszawszy prośbę Krystyny o przeczytanie listu. Mikołaj wstał, ze starej, podartej i zatłuszczonej książki do nabożeństwa wyjął ogromne okulary, a umieściwszy je na nosie, siadł przy oknie, papier rozwinął i bardzo powoli, z wielką trudnością czytać zaczął:

„Przez Jakóba Szyłkę, tego, co to jego chata przy Gozdawowej stoi, posyłam wam, matulu, pisanie to, a jeżeli nie przyjdziecie do mnie, jak tylko przeczytacie, to już nigdy mnie na tym świecie nie zobaczycie. Wczoraj od naszego pułkownika przyszedł rozkaz, żeby wszyscy rekruci wyjeżdżali tam, gdzie im kazano. Już nas tutaj nigdy ani oko nie zobaczy, ani ucho nie usłyszy. Nie wszyscy odrazu pojedziemy. Rotami kazano wyjeżdżać, a ta rota, do której ja należę, pierwsza wyjeżdża. Jutro, matulu, jutro ja na skraj świata już pojedę”.

W izbie rozległ się krzyk straszny. Antek zlekka matkę łokciem trącił i cichym szeptem wymówił:

— Cicho, matko, cicho!

Mikołaj czytał dalej:

„Gadają ludzie, żebym ja się nie smucił, bo jadą inni na kraj świata i wracają. Ale mnie to nie spotka. W żołądku żadnej siły nie czuję i piersi bolą, a bolą.. W szpitalu miesiąc przebyłem i lepiej mi było, ale teraz od wielkiego smutku znów gorzej. Jeżeli chcecie mnie, matulu, jeszcze jeden raz na tym świecie widzieć, przyjdźcie do miasta, jak tylko pismo to przeczytacie. Niech ja jeszcze raz na twoją główkę popatrzę. I przynieście mi tych pieniędzy, któreście dla mnie przeznaczyci, choć pięć rubli na drogę, żebym ja sobie za nich co kupił, kiedy trzeba będzie, żebym miał czem się posilić, i na tytuń także i na uszycie butów z tej skóry, co żołnierzom rozdają; ja sam szyć nie umiem, ale jest tu taki jeden, co szyje buty żołnierzom, a trzeba mu co dać, żeby uszył. To wy mnie, matulu, pięć rubli przynieście, albo może i dziesięć, z tych, coście dla mnie przeznaczyci. Zlitujcie się i ratujcie. Przyjdźcie na pożegnanie i pieniędzy przynieście. Już ja jutro pojedę, bo ta rota, do której ja należę, pierwsza wyjeżdża. A teraz kłaniajcie się odemnie Antkowi i Jaśkowi, i Jaśkowej żonie, i Maciejowi, i Maciejowej, i Mikołajowi i synowi Mikołaja, Andrzejowi, i córce Mikołajowej, Kaśce i Pawłowi Gozdawie i żonie jego i Józetowi Szyłce i jego bratu”.

Tu Mikołaj rękę z kawałkiem sinego papieru na kolana opuścił. Złakł się. W izbie brzmiał krzyk długi, przeraźliwy. Zarazem rozległ się stuk padającego na podłogę ciała. Ze strasznym krzykiem owym Krystyna na glinianą podłogę upadła, a palce jej opłotły głowę i paznogciami wpiły się przez gęste włosy w skórę, okrywającą czaszkę. Z ust jej wychodził jeden tylko, nieustannie powtarzający się wyraz:

— O, Jezu! Jezu! Jezu mój! Jezu!

Wyraz ten rozległ się po izbie tak straszliwie, jak gdyby wychodził z konającej piersi.

Z tem obejmowaniem ziemi i ruchami ciała, dążącymi jakoby do wgrzebania się w ziemię, z tym nieustannym powtarzaniem na różne tony jednego wyrazu, z roztarganymi

włosami i rozplamionymi oczyma, miała w tej chwili pozór wariatki. Teraz już wybornie rozumiała wszystko. Zrozumiała, że adwokat oszukiwał, że pieniądze wyłudził, że nie uratowała syna i że Filippek pojechał już w te dalekie kraje, o których tyle okropnych rzeczy opowiadał Mikołaj...

— Jezu! Jezu! Jezu mój, Jezu!

Syn jej pojechał dziś właśnie, wtedy, kiedy ona w mieście była i nie pozwolili jej pójść do niego i jeszcze raz jeden na niego spojrzeć... Pojechał temi wozami, które tuż, tuż przed nią przeleciały, a ona nie wiedziała, że on tam był, i kiedy twarz jego mignęła jej w oczach, w wielkiej gromadzie innych twarzy, to ona myślała, że się jej przywidziało, przyśniło się niby... A on tam był... w tych czarnych wozach...

— Jezu! Jezu! Jezu mój! Jezu!

Napisał do niej: „matulu! ratujcie! przyjdźcie do mnie na pożegnanie!” a ona nie przyszła... tak, jakby go nie kochała i nie żałowała; ani pożegnać się z nim, ani macierzyńską ręką pobłogosławić go nie przyszła... Była o kilka kroków od dziecka swego najmilszego i nie objęła go i nie zobaczyła...

— O, Jezu!

Antek nad rozpostartą na ziemi matką stał i powtarzał:

— Dosyć, matulu, dosyć, dosyć, dosyć już, dosyć!

Łzy kręciły mu się w oczach. On także widać żałował brata, ale więcej jeszcze matki, i pocieszał ją, jak umiał.

Ale Krystyna głośniejsze, niż wprzód, straszniej, przeciąglej krzyknęła:

— Jezu!

Podniosła się trochę z ziemi. W klęczącej postawie ramiona w górę wyprężyła i, kłasnawszy w dłonie, aż się po izbie rozległo, ręce załamała. Przypomniła się jej teraz jeszcze jedna rzecz straszna.

— Jam już wszystkie, wszyscyuteńkie pieniądze im oddała! co ja jemu teraz poszlę, żeby on miał się czem posilić... skąd ja jemu pięć rubli wezmę... ja już ani grosza nie mam... ani jednego grosza dla niego niema... O, Jezu mój! com ja zrobiła! Żebym ja wprzód pod ziemię poszła, żeby mnie wprzód nogi odjęło, nim te pieniądze oddałam!... Oj! Filipku mój, kwiatku ty mój, słoneczko ty moje złote, nie mam już nic do posłania tobie...

Teraz dopiero ryknęła płaczem, i Antek rozplakał się także. Pochylił się ku klęczącej wciąż matce i za ramię targać ją zaczął.

— Dosyć, matko, — szeptał — dosyć, nie zawodźcie tak! Weźcie z moich pieniędzy pięć rubli i Filipkowi pošlijcie! Już ja jemu tych pieniędzy nie pożałuję. Słyszycie matulu, co ja mówię?

Słyszała. I czuła, że tu przyszła na nią rzecz najstraszniejsza. Podniosła na syna pełne łez oczy i zdławionym głosem wyszeptała:

— Synku! oj! synku! nie gniewaj się, ja i te pieniądze, te, co dla ciebie były... oddałam.

Parobczak wyprostował się, oczy mu nagle oschły, a krwiste rumieńce do twarzy buchnęły.

— Kiedy? — krzyknął.

— Dziś rano, w mieście u adwokata oddałam.

Nastąpiła chwila głuchego milczenia. Po twarzy parobka przepływały płomienie gniewu, oczy roziskrzać się zaczęły. Od klęczącej kobiety kilka kroków odstał, pięście zacisnął i głosem grubym, takim, jakim nigdy dotąd nie mawiał, wybuchnął:

— No, kiedy tak, to ty suka jesteś, nie matka!... Ja ci tego nigdy nie daruję!

Na ławie pod ścianą usiadł i, łokcie wsparłszy na kolanach, twarz w dłoniach ukrył i płakać głośno zaczął, a płacząc wyrzekał.

— Jemu wszystko, a mnie to nic... jakbym ja nie jej był dzieckiem. Cóż on lepszego odemnie, żeby jemy wszystko było, a mnie nic... Czym ja tobie co złego zrobił? taki sam byłem posłuszny i uważny, jak i on. Oj, żebym wiedział, że mnie Pan Bóg pokarał taką matką, nie byłbym takim, kiedyś ty taka bez rozumu żadnego i taka, co jedno dziecko swoje liże, a drugie kąsa...

Odkrył twarz i do Mikołaja zwrócony, rozpowiadać począł, że jeden z gospodarzy milewskich, jedynaczkę córkę mający, chciał go ze stoma rublami wziąć za zięcia. Nazywa

się Marjanna, tęga dziewucha i gospodyni dobra. Za rok jaki byłoby wesele... Ożeniłby się i swoje miałby gospodarstwo... A teraz, bez niczego kto go weźmie?

Rzucił się znowu ku matce.

— A prosiłem, żeby nie oddawała! Oddała... mnie ona drogę do szczęścia zagroziła! Co ja jej złego zrobiłem? Czem ja gorszy od tamtego! — I znowu zakrywszy twarz dłońmi, rozplakał się. Wtedy kobieta ku ziemi schylona, pokorna, pełznąć zaczęła po podłodze ku ławie, na której siedział rozżalony i rozwścieczony parobczak. Jedna połowa jej serca leciała za tamtym, nieszczęsnym, zgubionym, druga ciągnęła do tego biednego, którego skrzywdziła sama. Przypelzła ku niemu na klęczkach i ramionami objąć go chciała. Ale on, uczuwszy jej dotknięcie, zerwał się z ławy i pięścią w pierś pchnął ją tak silnie, że aż zatoczyła się i znowu na podłogę upadła. Podniósł więc na nią rękę!

— O, Jezu! o Jezu! Jezu!

Dźwignęła się z ziemi i, cała pochylając się na przód, z wyciągniętymi rękami znowu szła ku niemu.

— Nie gniewaj się, synku, oj, nie gniewaj się! tyś już teraz jeden jedyny mi został.

Jednego zabrali i pogonili daleko... drugi ją wybił... Jezu!

Mikołaj wtedy wstał z ławki, parobka za rękaw od siermięgi chwycił i zmieszanego wypchnął za drzwi.

Przepadły pieniądze Krystyny; przepadło i to wszystko, co chłopci milewscy na proces z Dzielskim adwokatowi wypłacili, i to, co Jasiek dał na sprawę przeciw Gozdawie, i to, czym Gozdawa chciał adwokata na swoją stronę przekupić! Ciężko zapracowany grosz, pieniądze przez lat kilkanaście mozolną pracą uzbierane, wszystko wyłudził Kaprowski...

I żeby to na tem było się skończyło.

Nie same tylko pieniądze ludzie potracili. Przepadła i zgoda we wsi. Gospodarze jedni drugim wymawiali, że tak oszukać się dali.

Jasiek, choć od sprawy kryminalnej wykręcił się jakoś, ale już nigdy ze stryjem do zgody nie doszedł. Paweł, który mu przedtem pomagał i radził w potrzebie, stał się dla niego obcym i nawet gorszym, niż obcy... Antek rzucił matkę i poszedł do innej wsi na parobka.

— Kiedy ty pracy własnego dziecka uszanować nie umiesz — powiedział — nie jesteś ty matką, znać cię nie chcę!...

Biedna Krystyna, opuszczona przez dzieci, na starość sierotą została...

A główni winowajcy? cóż z nimi się stało? Kiedy chłopci chcieli dochodzić swej krzywdy, zapytano ich o papiery, o dokumenty, o dowody, że pieniądze Kaprowskiemu dawali. Ale nic podobnego nie mieli i dlatego wszystkie ich zabiegi do niczego nie doprowadziły. Tyle tylko, że Kaprowski, nie mając już nic do czynienia w tej okolicy, gdzie wszyscy się na nim poznali, wyjechał tajemnie w inne strony, ażeby tam na nowo swoją piekielną robotę prowadzić. Mikołaja zaś znaleziono jakoś wkrótce potem w lesie zabitego i znać było, że ci, co nań napadli, straszną mu śmierć zadali; cało miał całe poranione, pokaleczone i pobite. Śledztwo do niczego nie doprowadziło, sprawców nie wykryto; kiedy władze zjechały, od nikogo słowa wycisnąć nie można było: chłopci milczeli ponuro i znać było, że wieś cała uznaje słuszność kary na człowieku, który tylu krzywd i nieszczęść był narzędziem.

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z **Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur**.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na **Licencji Wolnej Sztuki 1.3**. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w **Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur**. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/pan-kaprowski>

Tekst opracowany na podstawie: Eliza Orzeszkowa, Pan Kaprowski. Obrazek, skład główny w "Księgarni Polskiej", druk Józefa Jeżyńskiego, Warszawa 1905.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>) na podstawie tekstu dostępnego w serwisie Wikiźródła (<http://pl.wikisource.org>). Redakcję techniczną wykonała Paulina Choromańska, natomiast korektę utworu ze źródłem wikiskrybówie w ramach projektu Wikiźródła. Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

ISBN 978-83-288-0639-9

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przeznacz 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przeznacz darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).